TYDZIEŃ

Nr 28 (52) ROK II

13. VII. 1947

CENA 20 ZŁ



DZIŚ: HELENA BOGUSZEWSKA, JANUSZ MINKIEWICZ, JAN WIKTOR

tak i nie

Marsz na Paryż



Część prasy polskiej poddała się nieświadomie i niewątpliwie inspirowanym wiadomościom, jakoby przygotowany i udaremniony zamach na ustrój demokratyczny we Francji nie miał nic wspólnego z ruchem, który reprezentuje de Gaulle. W rzeczywistości wiele nici wiąże ze sobą de Gaulle'a, reakcyjne sfery wojskowe, przede wszystkim armii okupacyjnej w Niemczech, ze starymi kołami kagulardów. Pisaliśmy o tym w artykule Jana Skulskiego w numerze z 18 maja br. pod tytułem „Marsz na Paryż" — oto o czym marzy de Gaulle. W artykule tym czytaliśmy:

„Z początkiem br. co gorętszym i bardziej reakcyjnym głowom spośród oficerów armii okupacyjnej, począł się nawet marzyć „zbrojny marsz na Paryż" dla położenia kresu „partyjnym targom" i oddania władzy de Gaulle'owi. Widocznie echo tych awanturniczych pomysłów dotarło i do Paryża, gdyż mniej więcej w tym czasie poważna część wojsk okupacyjnych została pospiesznie wysłana do Indochin. Niemniej jednak de Gaulle nie zraził się prawopodobnie zdekompletowaniem swej gwardii i obrał właśnie Strasburg dla rozpoczęcia swego „politycznego pochodu na Paryż". Chociaż nieporozumienia w obozie lewicy francuskiej, które doprowadziły do ustąpienia komunistów z rządu, w poważnym stopniu mogą ułatwić akcję de Gaulle'owi, niemniej jednak w ramach republiki i drogą legalną nie może on liczyć w obecnym układzie sił na sukces. A jeśli odważyłby się targnąć na republikę i jej urządzenia, miałby przeciw sobie uzbrojony lud Francji. Ale na to szaleństwo de Gaulle, znający chyba historię Francji, nie pójdzie."

Jak widać informacje nasze były dobre, a przewidywania sprawdziły się niemal dosłownie.

Prasowy lynch

PRZYWYKLIŚMY już do reklamowanej „wolności prasy amerykańskiej". Nowy Jork stał się ostatnio widownią klasycznego pokazu dokąd prowadzić może systematyczne tendencyjne naświetlanie problemów socjalnych. Największe miasto świata liczy obecnie 233.000 osób korzystających z opieki społecznej. Wobec niemożności znalezienia mieszkań dla 37 rodzin, mających od 5 do 9 dzieci tamtejszy Wydział Opieki Społecznej umieścił je w małych hotelach i pensjonatach, płacąc za nie komorne.

Pewien odłam prasy skorzystał z tego, aby rozpocząć wielką nagonkę przeciwko takiemu marnowaniu pieniędzy społecznych. Wydział Opieki Społecznej został zmuszony do ulokowania podopiecznych w walących się barakach i niezdatnych do użytku budynkach. W konkretnym wypadku nieszczęśliwa matka musiała czuwać nocami nad swymi drobnymi dziećmi i odganiać szczury, które całymi chmarami zjawiały się na żer. Po upływie tygodnia musiano wszystkie rodziny ulokować ponownie w hotelach i pensjonatach, jak już powiedzieliśmy bynajmniej nie luksusowych.

Komentatorzy radiowi oświadczyli potem, że „była to demonstracja, do czego może doprowadzić zły użytek potęgi prasowej", „Był to przykład innego rodzaju, ale równie groźnego lynchu!".

Wspólnik Hitlera

ZUPEŁNIE niespostrzeżenie dla opinii publicznej zmarł w Monachium 68-letni Hugo Wolf. A jednak Hugo Wolf był dwukrotnie ośrodkiem zainteresowania wielu ludzi. Po raz pierwszy było to w roku 1933, gdy Hitler zaczął decydować o przyszłości Niemiec. Wówczas to jeden z dziennikarzy amerykańskich zaczął szperać w Wiedniu za szczegółami życia wodza Trzeciej Rzeszy. Odkrył on na jednym z przedmieść wiedeńskich bezrobotnego Hugo Wolfa — artystę malarza z powołania, a dekoratora — rzemieślnika z konieczności. Ów to Hugo Wolf opowiedział dziennikarzowi, jak to przed dwudziestu laty założył on wraz z Hitlerem maleńkie atelier dla malowania kart pocztowych. Hitler był wówczas przedstawicielem firmy.

— Miał on więcej zdolności do tego rodzaju pracy — wyjaśniał Wolf — jego zdolność wmawiania i perswazji była nadzwyczajna.

„Towarzystwo handlowe" nie trwało zresztą długo. Pewnego dnia Wolf bowiem odkrył, że Hitler sprzedaje większą ilość kart pocztowych i po wyższej cenie, niż wpisywał do książki rachunkowej. Tak więc spółka „Hitler und Wolf" została rozwiązana.

Później, w kilka miesięcy po Anschlussie, Wolf został aresztowany przez Gestapo. Powód? Owe zwierzenia przed dziennikarzem amerykańskim. Do sprawy wtrącił się jednak Goebbels. Zaraz potem dzienniki niemieckie zapełniły się artykułami, o tym jak to podły dziennikarz amerykański zmienił opowiadania Wolfa i jak wspomnienia Wolfa wyglądają w rzeczywistości.. Były to wspomnienia wzruszające, świadectwo nędzy materialnej i szlachetności wodza, były to szczegółowe detale o prześladowaniu Hitlera przez kupców żydowskich.

Po owym pokajaniu się Wolf, uważając, że winy zostały mu już odpuszczone, zwrócił się do swojego byłego wspólnika z prośbą o pomoc. Odpowiedzi jednak nigdy nie dostał.

Postępowa prasa w Ameryce

PRASA w Ameryce znajduje się w rękach wielkich koncernów wydawniczych, które, jak powszechnie wiadomo, służą interesom wielkiego kapitału. Dzięki umiejętnemu połączeniu polityki ogłoszeniowej trustów i wielkich fabrykantów, dzięki wpływaniu na rynek papierniczy przez wykupywanie prawie całej produkcji papieru drukarskiego, rozwinięcie się prasy niezależnej tzn. niezależnej od osobistych lub grupowych interesów wydawców, jest niezmiernie utrudnione.

Liczba dzienników postępowych jest niezmiernie mała. W Nowym Jorku ukazują się tylko dwie takie gazety: „New York Daily Worker", skrajnie lewicowy i południowa „P. M." (Pi-Em), redagowana w duchu postępowym, lecz nie lewicowym. Poza tym ukazuje się tygodnik „News Masses", uważany za równie lewicowy jak „Daily Worker".

Największy jednak wpływ na kształtowanie się opinii postępowej w Ameryce posiadają dwa tygodniki „The Nation" i „New Republic". „The Nation" drukuje pod nagłówkiem podtytuł „czołowy organ liberalny". „New Republic" znane jest w Polsce od chwili objęcia redakcji przez Henry Wallace. Jaki jest rezonans tych pism? Każde z nich posiadało według danych z ubiegłego roku nakład ok. 60.000 egzemplarzy. Nie jest to wiele, jeżeli zastosuje się mierniki milionowych nakładów różnych „Digestów". Jeżeli jednak przyjrzeć się bliżej rynkowi wydawniczemu Ameryki, to okaże się, że poza stosunkowo niewielką liczbą masowych wydawnictw, osiągających milionowe cyfry nakładów, liczby wydrukowanych egzemplarzy raptownie spadają. Nakład 60 — do 90 tysięcy uważany jest za bardzo poważny. Trzeba wreszcie uwzględnić znaczenie, jakie posiada specyficzny krąg czytelniczy, który sobie obydwa pisma wyrobiły, chociaż szata ich daleka jest od wspaniałości znanych i w Polsce „Life" czy „Time".

„Nation" i „New Republic" ukazują się na papierze, którego nie wzięłoby ani nasze „Odrodzenie", ani „Szpilki". Czytelnik nie znajdzie w nich efektownych dowcipów, obliczonych na zamydlenie oczu czytelników. Nie znajdzie również kilkudziesięciu wierszowych artykulików, załatwiających apodyktycznie najważniejsze sprawy świata w kilku zdaniach. Przeważają artykuły poważna w technice redakcyjnej zbliżone nieco do politycznych tygodników angielskich.

Ostrze na ostrze

W SYPIALNYM WAGONIE

Nie tak dawno kolega Atom w „Robotniku" zamieścił felieton — smutną epopeę pewnego jegomościa, który trafił przypadkowo do lekarza kobiety. Obrażone poczucie męskiej godności skierowało jego kroki do adwokata. Adwokat okazał się również kobietą. Gdy chciał wyrazić swe oburzenie z powodu dominacji kobiet za pośrednictwem organu opinii publicznej, tj. prasy, na jego drodze znów stanęła kobieta — redaktor. Mężczyznę ogarnęła melancholia, a kolegę Atoma — współczucie dla dotychczasowych, obecnie zdetronizowanych panów świata. Westchnął zapewnie rzewnie — i on przecież jest także mężczyzną — i napisał felieton.

Kiedy ja go z kolei przeczytałam, ogarnęło mnie lekkie zwątpienie. Poczułam się trochę niewyraźnie. Należę bowiem do gatunku opisanych powyżej tzw. „kobiet pracujących zawodowo". Poczucie samodzielności i niezależności w naszych własnych oczach stawia nas bezwzględnie na równej stopie z drugą odmianą rodzaju ludzkiego.

Aż tu nagle okazuje się, że wcale nie jest tak dobrze. Ta druga odmiana jest zupełnie inneo zdania, niż kobiety samodzielne. Krzywi się. Uważa ich działalność za uszczuplanie swoich praw. Za osobistą obrazę. Zaniepokoiłam się. Przypuśćmy bowiem, iż te pomruki niezadowolenia przerodzą się w otwarty bunt?...Czy ostoją się wówczas nasze świeże, dopiero umacniane pozycje?

Tym bardziej, że mężczyzna czuwa. **Przebiegły ten przeciwnik, wykorzystując pokutujące tu i ówdzie w naszych duszach resztki kobiecych słabostek i próżnostek, usilnie stara się pochlebstwem i różnego rodzaju przysługami podkreślić różnicę płci, ugruntować w nas przekonanie, że jednak kobieta to nie to co mężczyzna! Swą przewrotność ukrywa pod mianem rycerskości. Podsuwa ogień do papierosa, ustępuje miejsca w tramwaju, ściąga walizkę z półki w pociągu, pomaga zdjąć płaszcz.**

Strzeżcie się, kobiety pracujące i samodzielne! To jedna z form kontrataku. A przecież w mojej — krótkiej zresztą rozterce ducha — doznałam prawdziwej satysfakcji.

My, kobiety, w naszej walce o pełne równouprawnienie, nie jesteśmy osamotnione. Są ludzie, którzy stanęli wraz z nami na barykadzie. Zupełnie oficjalnie, z urzędu. Znajduję te bratnie dusze w P.K.P. Słowami: Polskie Koleje Państwowe.

Przed wojną — drugą światową — istniał w pociągach przeżytek, zwany „damskim przedziałem". Tylko dla kobiet. Wojna i brak taboru uśmierciły go bez niczyjej szkody i łez. Do niedawna pokutował jednak wciąż jeszcze zbliżony przesąd — tak zwane osobne przedziały dla pań w wagonach sypialnych.

Obecnie...

Jechałam niedawno do Zakopanego. Gdy ulokowano się, do przedziału przybyły jeszcze dwie kobiety. Potem... zajrzał z miną dość niepewną pasażer płci męskiej.

— Hm, — mruknął z niedowierzaniem i porównał numer swojego biletu z numerem posłania.

— To tu... — i pomknął do konduktora.

Wrócił. Westchnął. Ustawił swoje walizki. Był bardzo zmieszany. Z wyraźną ulgą powitał odsiecz w postaci drugiego mężczyzny. Ten drugi — również skonfudowany jak pierwszy, był niezblokowanym posłem. Narzekał na nowe czasy, z widocznym zgorszeniem zezując w naszą stronę. Przecież to my, kobiety, powinnyśmy płonąć rumieńcem wstydu, jeśli już nie stać nas, bezwstydne emancypantki, na spazmy i omdlenie.

Zapowiedział interpelację w Sejmie na temat moralności publicznej.

A my nic. Nie przejmując się, ułożyłyśmy się do snu i zmęczone po dniu ciężkiej pracy — przespałyśmy znakomicie całą noc.

A ja triumfowałam.

Tak należy oswajać mężczyzn z zagadnieniem pełnego równouprawnienia kobiet.

AVIS

NASZA OKŁADKA



Rys. W. Siemiątkowski

14-go lipca upływa pierwsza rocznica wydania „Tygodnia".

Wschodzące słońce

W DNIU 5 maja br. generał Mac Arthur przywrócił Japonii jej historyczną flagę — czerwoną kulę wschodzącego słońca na białym tle.

Decyzja ta będzie miała duży wpływ na dalszy rozwój umysłowości japońskiej — przyczyni się do podtrzymania dawnych tradycji. Przywiązanie Japończyków do zwyczajów i praw przodków jest niezwykle silne, i choć gen. Mac Arthur uparcie twierdzi, że demokratyzacja Japonii poczyniła znaczne postępy, to jednak niewiele się pod jego rządami zmieniło.

Natychmiast po wkroczeniu wojsk alianckich zniesiony został zakaz uczęszczania do parku cesarskiego. Dotychczas groziła kara śmierci za próbę przejścia przez most nad fosą oddzielającą park od reszty miasta. Dotychczas mimo upływu blisko dwóch lat od zniesienia zakazu ani jeden Japończyk nie dał się zwieść ciekawości.

Sam cesarz Hirohito ograniczył się do zmiany stroju i do częstszego pokazywania się publicznie. Ostatnio odwiedził ponownie świątynię bogini słońca Amu-Terasu-Omi-Kami w Ise. Bogini ta nazywana jest „boską babką" i należy do liczby legendarnych przodków rodu cesarskiego. Poprzednie wizyty cesarz złożył z okazji zwycięstw odniesionych nad Amerykanami.

Cesarz Hirohito oświadczył niedawno, że chętnie odwiedziłby Stany Zjednoczone, aby okazać, że Japończycy i Amerykanie mogą znów być przyjaciółmi.

Zupełnie jak w życiu rodzinnym: „Już będę grzeczny!"

Rzeczywiście, gorąco...

W TYM samym czasie, gdy senora Peron była przyjmowana z wielką pompą przez Franco, ambasador hiszpański w Argentynie był widzem meczu piłkarskiego w Barcelonie. Tłum, który rozpoznał w jednej chwili reprezentanta Caudillo, powitał go długotrwałym gwizdem, wrzaskami i wymysłami. Prasa argentyńska komentując to wydarzenie wyraziła się, że ambasador hiszpański spotkał się z niezwykle „gorącym" przyjęciem



Zbigniew Mitzner



14 LIPCA 1946 r. ukazał się pierwszy numer „Tygodnia". W przeciągu tego roku nowe pismo, choć graficznie skromne, zdobyło sobie sympatię i zaufanie wielu tysięcy czytelników w Polsce.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, ile nadzwyczajnych i nienormalnych przeciwności przezwyciężyć dzisiaj trzeba, by regularnie, co tydzień dać czytelnikowi pismo do ręki. Te przeciwności pokonywujemy nie tylko my, ale i inne zespoły, wydające dziś pisma w ciężkich powojennych warunkach, zwłaszcza zaś warunkach zburzonej stolicy.

Jednym istotnym usprawiedliwieniem wydawania dziś pisma w Polsce powinna być istotna, konkretna, niesklamana potrzeba społeczna. Egzaminem tej potrzeby jest czas, który eliminuje z życia to, co życiu jest niepotrzebne.

TYDZIEŃ okazał się potrzebny. Rzetelne pismo informacyjne, polityczne, społeczne, i literackie, starające się skupić najlepszych ludzi pióra i najlepszych grafików, pismo szczerze demokratyczne — to wszystko nadało „Tygodniowi" swoisty wyraz.

A poza tym jeszcze jedno. Nie z przypadku, ale świadomie, z zamiarem poświęca „Tydzień" specjalnie wiele miejsca i uwagi sprawom współdzielczości w Polsce. Takie bowiem było i jest jego założenie. Jest to pismo o treści ogólnej, interesujące się wszelkimi zagadnieniami życia, uzupełniające specjalnie to, co inne pisma pomijają.

Jest to zagadnienie spółdzielczości i jej roli w życiu odrodzonego państwa polskiego. Stało się tak, że wokół spółdzielczości na łamach prasy, na zgromadzeniach i na trybunie sejmowej potoczyła się gorąca, nieraz i ostra dyskusja o działalności spółdzielczości.

Nie jest przypadkiem że jeśli „Tydzień" w dyskusji tej zabierał głos, czynił to zawsze w sposób rzeczowy, umiarkowany i spokojny. Dla „Tygodnia" bowiem nie taka czy inna rozgrywka, ale sama sprawa jest ważna, sprawa spółdzielczości w Polsce, jako jednej z dróg prowadzących do odbudowy kraju, wyzwalająca wielką energię społeczną, kształtująca ustrój przyszłości.

Odrzucona została raz na zawsze teoria o tym by spółdzielczość sama umiała i mogła organizować nowy ustrój sprawiedliwości społecznej. Granice spółdzielczości są dziś wyznaczone jasno. Jej współdziałanie z sektorem gospodarki upaństwowionej, z samym państwem, jest aksjomatem jej działania. Stąd też te czy inne nieporozumienia, te czy inne zatagi mieć muszą znaczenie przemijające ponad tym, które ma ten wielki ruch dla Polski i dla mas pracujących.

KONCEPCJA wydawania takiego pisma nowa jest w Polsce. Wypróbowana została już jednak dobrze gdzie indziej. Szwedzkie „Vi", czy czeski „Nowy Świat" — to właśnie kuzyni i prototypy „Tygodnia". To pisma interesujące wszystkich i wszystkich pragnące zainteresować spółdzielczością.

To samo i my robimy starając się na swoim odcinku zadania nasze wypełniać jak najlepiej i jak najstaranniej.

TA praca nasza, praca zespołu „Tygodnia" spotkała się z należytym zrozumieniem, oczywiście przede wszystkim w szerokich masach czynnych działaczy spółdzielczych. Oni to tworzą główną armię naszych czytelników, oni swoimi miesięcznymi opłatami dają gwarancję jego bytu i rozwoju. W ich też ręku leży przyszłość „Tygodnia", którego główną bolączką jest brak należytego rozpowszechnienia wśród czytelników.

Nie będziemy tutaj mnożyć licznych skarg na wady kolportażu, na usterki poczty. Jako prawdziwi spółdzielcy nie powinniśmy wymagać od innych, aby czegoś za nas dokonali.

Zadanie, które stoi przed nami, przed każdym czytelnikiem, prenumeratorem i przyjacielem „Tygodnia" jest zdobycie dla niego nowych czytelników, prenumeratorów i przyjaciół wśród najszerszych rzesz ludzi pracy.

Oto zadanie i oto wezwanie, z którym zwracamy się u progu drugiego roku naszej pracy.

Na stronie 11-ej podajemy pełną listę autorów, którzy zamieścili swe prace w „Tygodniu".
Wyrażamy przekonanie, że wszyscy oni nadal zechcą z nami współpracować — wraz z nowymi, którzy jeszcze tę współpracę podejmą.

DOKUMENTY NASZEJ HISTORII





Związek Radziecki zwraca Polsce bezcenne druki i dokumenty, dotyczące naszej historii, a swego czasu zagrabione przez Niemców. W salonach ambasady R. P. w Moskwie zorganizowano wystawę tych dokumentów przed wysłaniem ich do kraju.

Człowiek, który grał Chrystusa



Przed trybunałem denazyfikacyjnym we Frankfurcie stanął Alois Lang, człowiek, który w słynnych widowiskach pasyjnych w Oberammergau, odtwarzał postać Chrystusa. Obok niego stanął również jako oskarżony — Hans Zwink, który grywał Judasza.

Czy zostaną uniewinnieni?

1/32 krwi murzyńskiej

DWUDZIESTA z kolei powieść Sinclaira Lewisa p. t. Kingsblut" wywołała wiele hałasu w Ameryce.

Bohaterem powieści jest typowy Amerykanin, prowadzący życie regularne, w którym każdy krok jest dokładnie obliczony; w 30-ym roku życia jest on wiceprezydentem banku, w czterdziestym byłby prezydentem, w pięćdziesiątym miałby służącego Murzyna, w pięćdziesiątym piątym wycofałby się z życia publicznego, w sześćdziesiątym umarłby między jedną a drugą partą golfa.

Niestety, ten „typowy Amerykanin" odkrywa w pewnym momencie, że w jego żyłach znajduje się jedna trzydziesta druga część krwi murzyńskiej.

Co robić?... Zapomnieć o tym? Zataić to? Powiedzieć?.., Kingsblut decyduje się na to ostatnie. Rozpowiada wszędzie o swym pochodzeniu i przeprowadza się do dzielnicy murzyńskiej. Z tą chwilą zaczyna się dla niego okres katastrof.

Książka Lewisa, którą należy określić jako satyrę na rasizm amerykański, wywołała z miejsca burzę. Już uprzednio po przyznaniu Lewisowi nagrody Nobla, krytyka amerykańska wzięła go na kieł, i to tak zajadle, że wydawca książek Lewisa chcąc przeciwdziałać skutkom tej krytyki, był zmuszony zakupić całą stronę w wielu dziennikach, aby w ten sposób mieć „dobrą prasę".

„Kingsblut" nie jest coprawda najlepszą książką Lewisa, zawiera jednak conajmniej jedną wspaniałą scenę: wizyty bohatera w kościele murzyńskim.

Skorzeny i klejnoty żony Himmlera

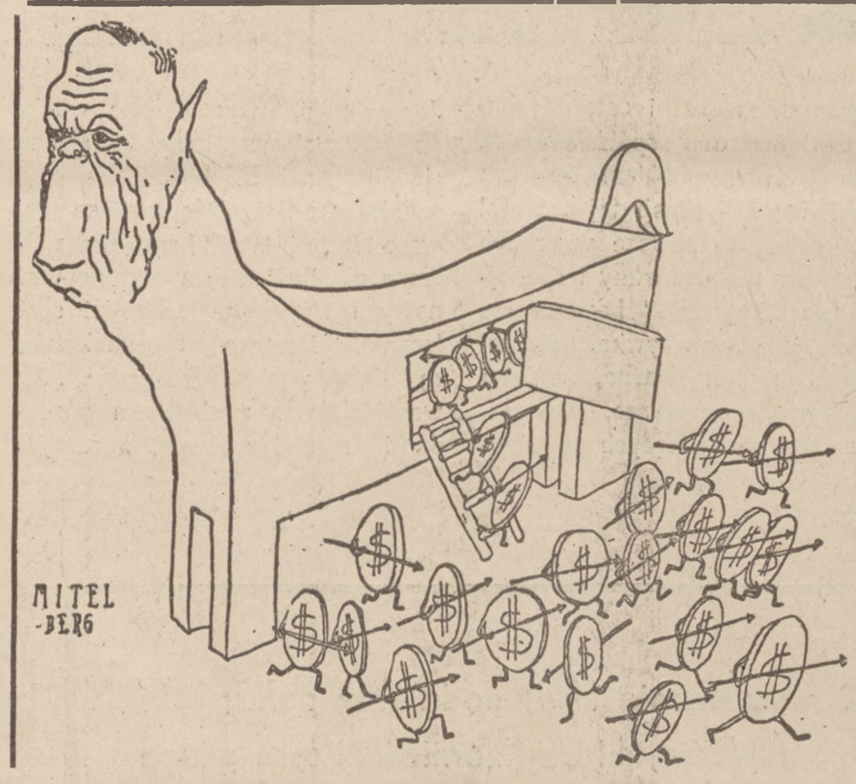
OSWOBODZICIEL Mussolniego pułkownik SS, Otto Skorzeny, będzie sądzony 29 lipca przez wojskowy trybunał amerykański w Dachau. Skorzeny, szef sabotażu hitlerowskiego, był uważany przez Amerykan za „najniebezpieczniejszego człowieka Europy". Jest on oskarżony wraz z dziewięcioma innymi oficerami niemieckimi o spowodowanie śmierci ponad stu jeńców wojennych, o noszenie w czasie walk munduru amerykańskiego i o rabunek czerwonokrzyskich paczek żywnościowych przeznaczonych dla jeńców wojennych.

Skorzeny został aresztowany w Annenburgu 14 maja 1945 r. Prócz porwania Mussoliniego z Gran - Casso, Skorzeny uprowadził admirała Horty'ego w celu uniemożliwienia zawarcia paktu między Węgrami a ZSRR. Poza tym jest on odpowiedzialny za projekt zamordowania gen. Eisenhowera i członków jego kwatery głównej w Paryżu.

Skorzeny, jeszcze podczas wojny, był bohaterem wielu anegdot. Charakterystyczna jest historia wstąpienia Skorzenego do SS. Miał on być mianowicie jednym z najzręczniejszych złodziei Berlina. Najbardziej sensacyjna z jego kradzieży miała być kradzież biżuterii żony Himmlera. Jak mówi anegdota (czy tylko anegdota?) Himmler po owej kradzieży ogłosił publicznie, że nie będzie ścigał złodzieja, któremu udało się skraść klejnoty jego żony. Skorzeny stawił się wobec tego przed Himmlerem, który powiedział: „Człowiek, który umiał przezwyciężyć wszystkie trudności, jakie istniały przy popełnieniu tego rodzaju kradzieży, nie może się marnować. Dla niego jest tylko jedno właściwe miejsce: Gestapo". Tak więc to miał Skorzeny wstąpić do SS w randze pułkownika.

tak i nie

Plan Marshalla czyli



KOŃ TROJAŃSKI

(„Action" — Paryż)

PODRÓŻE PANI PERON

Jedną z największych sensacji politycznych Europy jest podróż żony faszystowskiego prezydenta Argentyny — Ewy Duarte de Peron.



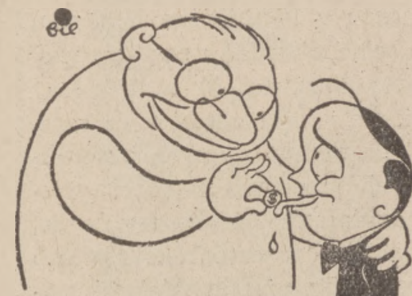
Przede wszystkim odwiedziła ona oczywiście gen. Franco. Oto widzimy ją na zdjęciu (na prawo) w towarzystwie państwa Franco.



Następnie po przybyciu do Włoch przyjęta została przez Papieża. Oto opuszcza ona Salę Clementina po prywatnej audiencji u papieża Piusa XII, towarzyszy jej książe Alessandro Ruspoli—przełożony świętego pałacu, straż szwajcarów oraz dygnitarze watykańscy.

Audiencji towarzyszył największy ceremoniał, widziany od czasów wojny.

Spotkanie Bevin—Bidault



— Masz, jedz witaminkę Wuja Sama

(„Ici Paris")

Dobrze znana metoda

W E Francji zostało opublikowane tajne rozporządzenie Franco, nakazujące „wykańczanie" w czasie aresztowania tych więźniów, których oficjalne skazanie na śmierć może być powodem interwencji i manifestacji międzynarodowych. Jedną z pierwszych ofiar tego „urzędowego załatwienia sprawy" padł republikanin Aurelio Gil.. Aresztowany 3-go czerwca przez brygadę specjalną, zabity został na ulicy trzema wystrzałami rewolwerowymi. Raport policyjny był sporządzony według najlepszych tradycji gestapowskich: „zabity podczas próby ucieczki".

Skąd się wzięło O. K.

SŁYNNE wyrażonko amerykańskie O.K. (o kej) zdobyło już niemal obywatelstwo międzynarodowe. W ustach Amerykanina, chcącego wyrazić że „wszystko w porządku", „zgadza się", jest ono tak samo nieodzowne jak guma do żucia.

Pismo amerykańskie „New York Herald" ogłosiło ostatnio ankietę mającą na celu wyjaśnienie pochodzenia owego powiedzonka.

Dla jednych O. K. przywędrowało z dialektu szczepu indyjskiego Schoctaw, gdzie Okeh znaczyło: jest tak a nie inaczej.

Dla innych O. K. wywodzi się z czasów wojny boerskiej; ma to być skrót meldunków wojskowych O. Killed (nie ma zabitych).

Istnieje jeszcze i inne wyjaśnienie: W języku staroangielskim obecne „all right" (wszystko w porządku) pisało się „All Krite". — stąd też skrót O. K.

Etymologiści wyszperali jednak inną jeszcze możliwość pochodzenia O. K. Wywodziłoby się ono, według nich, z czasów amerykańskiej wojny secesyjnej, gdy do Stanów Zjednoczonych zaczęto przysyłać tytoń z Antyli francuskich „Aux Quais"; Tytoń ten był tak świetny, że jego nazwa stała się dla żołnierzy synonimem wspaniałości, pierwszorzędności.

Możliwości wyjaśniania jest więc sporo: przeciętny Amerykanin nie przejmuje się jednak pochodzeniem swego powiedzonka. Na pytanie, które wyjaśnienie przemawia do niego najbardziej — odpowiada — wszystkie O. K.

Biała magia

CZŁONKOWIE Międzynarodowego towarzystwa magików, których kongres odbył się w Pittsburgu (USA), są niezmiernie zaniepokojeni przyszłością swego zawodu.

Chodzi o kulę, słynną kulę kryształową, za pomocą której dobry magik wróżbita przepowie przyszłość aż do życia pozagrobowego włącznie.

Jedyny bowiem kraj, który przed wojną produkował tego rodzaju kule, Czechosłowacja, odmówił ich produkcji (Widocznie Czesi potrafią przepowiadać przeszłość bez pomocy magików...).

...A magicy są jednak zrozpaczeni.

Al Capone w Algierze

AL Capone znalazł naśladowców w Algierze. Rekrutują się oni z dezerterów armii amerykańskiej, którzy uległi urokowi egzotycznej Kasba, położonej na wzgórzu, otoczonej wysokimi murami dzielnicy tubylczej w nowoczesnym Algierze. Liczba amerykańskich dezerterów, wśród których jest wielu murzynów, obliczana jest na 150 osób. Zorganizowali oni złodziei kieszonkowych i innych przestępców algierskich w potężne szajki na wzór gangsterów chicagowskich.

Ostatnio po kilkuletnim pobycie w prymitywie Kasby opanowała ich tęsknota za bardziej cywilizowanymi warunkami życia. Policja i żandarmeria wojskowa roztoczyła wobec tego szczególną opiekę nad schodami prowadzącymi do Kasby, i jak powiadają wystarczy mieć wygląd „amerykański", aby zawędrować do ciupy.

Jan Wiktor

Wrażenia z Czechosłowacji



I.

Co tu dłużej owijać w bawełnę. Biję oklaski aż do spuchnięcia dłoni na cześć Ministra Kultury i Sztuki, a pod stopy Juliusza Starzyńskiego, dyrektora biura współpracy z zagranicą, rzucam kwiaty, jakie w czasie tej poddóży widziałem. Czynię to z wielką radością. Potem leję kubek wody, na rozognione pióro i piszę już zimno, oceniając trzeźwo każde słowo, aby nie zaczęło brykać i fruwać w gwiaździste przestworza.

Trzej pisarze, których prace mają się ukazać w Bernie po czesku, zostali zaproszeni na zjazd do Brumowic w 90-letnią rocznicę narodzin wielce zasłużonego pisarza Jana Herbena. Zaproszenie to powodowało ułatwienia wszelakie, pomoc i rozchylało drzwi nieraz głucho zatrzaśnięte. Paszport? Uf, to osobny rozdział, godny genialnego pióra, mającego stworzyć fantastyczne arcydzieło. Treść leży w uśmiechach urzędników, w rozłożeniu rąk ogarniających ludzkość, zdmuchających wszystkie granice świata, w nieśmiertelnej odpowiedzi, powtarzanej z uprzejmością strażników pilnujących bram raju! za dwa — trzy dni! W czasie tych wędrówek autor wspomnianego arcydzieła, będzie sobie powtarzał opowieść dość iglarną o biblijnym wielbłądzie, marzącym o przygodach, kiedy usiłuje przejść przez ucho igielne.

Mój duch opiekuńczy, czarująca p. Ada, patronka uciśnionych, do której nieraz składałem litanię, zaczynającą się — o uśmiechu gwiazdy zarannej, o niewiasto błogosławiona wśród najlepszych, — wydeptała, wywalczyła paszport, który dla mieszkańca tej ziemi, darzącej wszelakim dobrem, jest tym, czym skrzydła dla ptaka, wypuszczonego z pozłacanej klatki. Owe upragnione skrzydła otrzymałem w sobotę przed południem, a o godz. 5 byłem już w autobusie, mniej więcej w tym samym czasie, w którym się zjazd rozpoczął, więc rozdwoiłem swoją istotę na dwie składowe części — ciałem pełnym przekleństw, tkwiłem w ciasnocie, spiekocie przepojonej wszelaką złością, wydyszaną przez współpodróżnych, a duchem fruwałem w przestworzach, zmieniając słowa i uczucia w gołębicę wypuszczoną w dal morawską z błogosławieństwem.

Razem ze mną miała jechać Hanna Malewska, autorka świetnej „Żelaznej Korony". Przed tygodniem wyjechała do Warszawy w sprawie paszportu, o który wniosła podanie jeszcze w kwietniu. Musiała go zdobyć, boć kobieta wydająca się, że jest stworzona z mgły, z promieni, nieraz włada piorunami, wierząc w potęgę modlitwy. Czyżby piorun był za kruchy? czyżby zapora była ze stali? Czyżby moc boża, ukryta w modlitwie, była przysłowiowym grochem rzucanym o mur biurokratyzmu? Czyżby łatwiej było poruszyć z posad glob ziemski niż ów mur?— Biedząc się nad tymi pytaniami, szukałem zjawy z greckiej wiosny w żelaznej koronie, od której wszelkie ciosy odskakują, a na cześć której kamienie hymny wołają, a kłosy ścielą się na ostrze sierpa.

Na dworcu w Katowicach tłumy uciekające z miasta w pole, w lasy, w góry po słońce. Skauci z plecakami, z kociołkami, wsparci na ciupagach, z minami tak władczymi i zdobywczymi, jakby wyruszali na podbój świata. Uczniowie szkół deklamujący oczami najpiękniejsze strofy — uwielbiające uroki uczennic, zwiastujących uśmiechami czar wszystkich wiosenek. Jest gwarnie, wesoło. Ryk bawołi megafonów zwiastował przyjazdy i odjazdy pociągów, pękających od ciżby zatłaczającej każdy kąt dekorującej w fantastyczny sposób poręcze, stopnie, bufory.

Luksusowe pulmany.

Dawniej wagony spełniały inną rolę, bo służyły do przewożenia, dla wygody, zdrowia, w ograniczonej ilości, pięknych rumaków i dojnych krówek. Dzisiaj w zastosowaniu do ludzi całkiem zapomniano o przepisach i wnętrze ich zmieniono w beczkę śledzi, albo w rozkoszny lokal, którego wzory najgenialniejszy architekt Belzebuba wykradł, aby zastosować je, w czeluściach piekielnych, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów ludzi opętanych żądzą podróżowania. Przez drzwi stojące otworem widać twarze chyba pożyczone od potępieńców na dzisiejszy występ. Zgoła inny obraz rodzajowy kształtował się w górze. Towarzystwo wesołe urządzało sobie na dachach majówkę na świeżym powietrzu, pod błękitnym niebem. Harmonia skocznie grała, podrywając nawet utrudzone nogi do tańca. Wybuchały piosenki, uwielbiające wszystkie jawne i ukryte ponęty życia. No i flaszki pokaźnych rozmiarów, krążące z rąk do rąk, brały w zabawie, można śmiało powiedzieć, dość wybitny udział, aż miło było patrzeć. Więc jakże nie radować się widokiem uszczęśliwionych wycieczkowiczów, podążających w dal nieznanych uciech.

Wśród okrzyków triumfalnych zniknął pociąg — wesele — danzing — a za nim przybywa inny, niemniej ochoczy, niemniej rozśpiewany i weselący się słonecznym, sobotnim dzionkiem. Znów z dachów sfrunęły piosneczki, zmiecione z rozmaitych zakamarków życia, powodując różnorakie wrażenia; stosownie do nastrojów i usposobień, bo widać było i liczka spłonione rumieńczykami i skromnie spuszczone oczęta, chociaż w tajemnicy zbyt roziskrzone i uszy chciwie łowiące wyrazy, melodie, nieraz mało wstydliwe i śmiech od ucha do ucha, w czasie którego ubawiony właściciel przechwalał się zębami różnego kroju, gatunku i wartości. Ale te śpiewy ginęły jakby w czeluści morskiej potępiciel i gorszyciel, któremu przywiązano do szyi biblijny kamień młyński, w litanii do wszystkich świętych i w pieśni wybuchających z nabożnych ust. Z barwnej ciżby wystrzelił krzyż i zapanował ponad głowami skupiając na sobie wzrok zebranych.

— Pielgrzymka.

Starzy i młodzi. Twarze pogodne, jasne, to znów zorane zmarszczkami, jak pergamin zapisany tragicznymi wyrazami. W rękach owiniętych różańcem książki do modlenia. Biedota polska pozganiana ze wszystkich krańców, spod Łucka, Tarnopola, Czortkowa, Równego z Podola, Wołynia. Mieszają się głosy zabarwione inną wymową, określającą okolice, z których pochodzą. Z Dolnego Śląska jadą do Częstochowy, żeby Matka Boska skrzepiła, pomnożyła siły, bo sił dużo trzeba, a odjęła boleść, bo boleści aż zanadto.

— Matka Boska Częstochowska matką naszą jednaką dla wszystkich i zza Buga, i zza Sanu, i z każdej strony.

— Jakże wam wiedzie się obecnie?

— Różnie. Może lepiej jak gdzie indziej. Moja córka w Radomiu na targu musi się strzec, aby nie powiedzieć, że z Buga, bo kapki mleka nie sprzedadzą — Ukraińcy cholery, niech wyzdychają. — A u nas tego nie ma. Tutaj z życiem jesteśmy bezpieczni. A dawniej? Jezu Miłosierny. Cośmy przeżyli, tego nikt nie opowie. Jeden Bóg wie. Każda godzina była śmierci wykradziona. Nigdzie nie zaznałeś spokoju. Jak zwierz kryłeś się po krzakach, w oborze, w polu. Teraz przynajmniej śpisz na pościeli, upracujesz się, ale wiesz, że cię nie ograbią, domostwa nie podpalą.





Z gromady wysunęła się młoda kobieta, żywa, śmiejąca się oczami, wargami, całym obliczem, wyróżniająca się zewnętrznym wyglądem. Pochodzi z dawnej Galicji wschodniej. Córka działacza ludowego, sama przed laty przodownica wśród młodzieży chłopskiej.

— Urodziłam się w Polsce pod Rzeszowem, wychowałam na Ukrainie, a teraz mieszkam na Ziemiach Odzyskanych w Dzierżonowie. Zrazu było przykro i ciężko. Pustynia. I niebo było inne i słonko inne, jakby zaćmione. Gdzieś popatrzał, to się zbierało na płacz. Nie ma to jak na swoich śmieciach. Nieraz myślałem — trzeba oczy wypłakać! Nieraz postanawialiśmy z mężem cisnąć to i uciekać. Zostaliśmy i nie żałujemy. Najgorzej z dziećmi; wciąż skamlały. Pocieszałam: przyzwyczaisz się! A one do mnie: — Mamusiu, tutaj nigdy nie przyzwyczaję się, zawsze będę widział naszą wieś. Ile razy zamknę oczy, w dzień i w nocy widzę... A teraz mówią! — Już tutaj zostaniemy, bo nam najlepiej i szkoła polska i kościół. — Z pomocą Bożą wrośliśmy. Chleb jest, to i słonko jaśniejsze i niebo miłosierniejsze. Moja ojcowizna, ech, ojcowizna—powtórzyła ze smutkiem — jest zagonem Polski. Jak go obrobimy, użyźnimy taka będzie nasza Ojczyzna dla wszystkich. Myśmy Polską na Ziemiach Odzyskanych. W radości budować trzeba.

II.

Gdyby nie różne mundury, trudno by rozeznać, gdzie znajduje się granica. Z tej i tamtej strony te same pola się rozpościerają, te same łąki barwią się, aby być radością wszystkich, to samo niebo rozpina błękit, aby być tłem dla obłoków objawiających się w zachwycających kształtach. Krzewy tu i tam kwitną po swojemu, zawsze jednako od swego istnienia, aby stać się romantyczną altanką dla rozkochanych ptaków na wiosnę. Przypomniałem sobie słowa poety czeskiego Halasa:

— „Granica? Jaka granica. W ogóle nie dostrzegam granicy. Tu i tam swobodnie biegały skowronki".

Tak samo widziałem skowronki wzbijające się w przestworza, podobne do grud ziemi zmienionych w pieśń i w lot. Tak samo widziałem wróble ćwierkające i gołąbie gruchające. Chciałem poznać ich tajemnice, zrozumieć ich mowę. Zapewnie mówią o ludziach jacy są głupi w swej nienawiści, odgrodzeni miedzami i płotami od braterskiego uścisku.

Pragnąłem oderwać się od dzisiejszego życia, od wspomnień, zatracić się w słońcu, w błękicie, we wszelkich przejawach przyrody, okazującej urok rozkwitów. Oczy biegły ku drzewom, ku obłokom i modliły się do nich, powierzając wszystkie wzruszenia.

— O jakżeś piękna, ziemio.

Zabrzmiały jakieś głosy, zrazu niezrozumiałe, obce a przecież dźwięczące znajomą treścią w nazwach miast wszystkich części świata — Londyn, Nowy Jork, Bukareszt, Rzym, Buksela, Antwerpia, Paryż. Pod ich wezwaniem padały słupy graniczne, rozwiewały się zatrzaśnięte bamy. To wysłannicy przeszłości wdarli się do mojej świadomości i wskrzesili przeklęte obrazy, które chciało by się zadusić, wtrącić w przepaść, aby już nigdy nie ożyły. Chwytam urywki rozmów. Urodzony w Kaliszu jedzie do Belgii, urodzony w Śniatynie wraca z Bukaresztu, urodzony w Krakowie przepłynie ocean. Odwiedzili różne miejscowości w Polsce, przygnani swoimi sprawami, a może miłością, tęsknotą: Groby ojców. Rocznica śmierci nakazuje odprawienie modłów. Nie znaleźli grobów. Więc modlili się nad całą ziemią opłakaną, nieszczęśliwą i wołającą do żyjących głosem pomordowanych.

— Nie zostaje pan w kraju? — pytam.

— Jestem Europejczykiem. Mam siostrę w Rzymie, brata w Milwauke — więc nie wiem, gdzie osiąść na stałe. Tu i tam czeka mnie interes.

— Europa skazana na zagładę — ktoś dorzuca. — W nienawiści zdechnie. Człowiek zadusi człowieka, modląc się i powtarzając nakazy ewangelii — miłuj Boga w mojej mowie, miłuj bliźniego!

W pewnej chwili rozpromieniła się nazwa Kraków, wieje zaginiony egzotyzm, uliczek Kazimierza, synagogi, starego cmentarza, gdzie spoczywają sławni rabini, cudotwórcy, po których żyją mogiły legendami.

(Ciąg dalszy na str. 6-ej)

(Ciąg dalszy ze str. 5-ej)

Wrażenia z Czechosłowacji

— Planty są fantastyczne. Kraków prze piękne miasto, ale smutne. Nie ma w sobie słońca.

— Może ludzie nie widzą go, częściej gaszą, aby nie świeciło wszystkim, bo zazdroszczą radości.

— Nie widzę słońca... tak... dla wielu zagasło... zostałem sam jeden z całej rodziny... rodzice... żona... dzieci... Nawet grobu nie znalazłem... Dotykałem ziemi jak umęczonej, pokaleczonej osoby, zdawało mi się, że jęczy, że razem ze mną płacze. Sądziłem, że ludzkość przeklnie po wszystkie pokolenia pamięć niemiecką za dokonane zbrodnie. Skończyła się wojna. Już nikt nie wspomina o tym, co uczynili, jak shańbili ludzkość. Nie powinno być dla Niemców miejsca wśród narodów. Zbrodniarze. Świat nie chce słuchać prawdy, ale też nikt nie ma odwagi mówić prawdy. Świat zatyka uszy, ukrywa serce w piasku i czeka na nieuchronną zagładę. Zapóźno usłyszy.

— Kto by chciał słuchać opowieści o zbrodni.

— Tak, kto by słuchał. Głuchy człowiek na cierpienia narodu nieszczęśliwego. Cóż to dla świata dzisiejszego znaczy 30 milionów zabitych. To jakby mecz footbalowy. Była emocja, w czasie gry i strzelania bramek. Już po meczu. Inne widowisko wstrząsa i podnieca. Teraz wszędzie wołają: — Niemcy to najniewinniejszy, najbardziej cierpiący i skrzywdzony naród w Europie. Jedno zmartwienie mają — jak odżywić niemieckie dzieci, jak podnieść na duchu starszych, aby jutro... aby jutro... Niemcy są potrzebni geszewciarzom politycznym, bo oni są ręką mordercy, bo oni są głownią rzuconą pod przycieś świata. Uciekam z Europy, bo nie mogę dłużej patrzeć na to, co się tutaj dzieje.

— Przeżyłem całą tragedię — mówił sasiad i zwątpiłem w etykę człowieka. Etyka, ewangelia i kultura — to oszustwo. Najwyższy czas, aby świat zginął. Cierpienie nie oczyściło duszy ludzkiej. Nigdy chyba nie było tyle nienawiści, co obecnie. Wszędzie, w każdym człowieku.

— I tyle miłości i dobra — przerwałem. — Idziemy wszyscy do jednego źródła, z którego pić będziemy — a jest nią... — nie śmiałem wymówić nazwy, która zrodziła się z męczeństwa ludzkości...—Pod skrzepami krwi i łez owe źródło.

— Czy mogę cieszyć się życiem, gdy wciąż widzę widma moich braci pędzonych na śmierć, gdy patrzę na ich twarze i słyszę ich głos... Pamiętam ten dzień w Kołomyi. Akcja. Zagnali wszystkich. Setki. Matki z dziećmi na rękach. Chorzy i starcy wsparci przez młodych. Było pięknie na świecie. Słońce mające radować ludzi, świeciło jak codziennie. A powinno zagasnąć. Jeżeli jest Bóg, to powinien wyrwać je i cisnąć w pyski zbrodniarzom. Ptaki śpiewały. A żaden ich głos nie zalał się łzami. Gdybym mógł, to bym wzrokiem kamieniował to słonko, te ptaki... Ludzie mordowani krzyczeli. Trzymałem na piersiach mojego synka. Miał trzy i pół roku. Nic nie mówił. Wciąż drżał za każdym wystrzałem, kurczowo się przytulał do mnie, rączkami chwytał: — Tatuniu — tatuniu. — Aż raz przy głośniejszym wystrzale pisnął: — Tatuniu, jak się strzela dziecko, to czy też boli?...' Nie powiedziałem słowa. Nie mogłem zapłakać. Przycisnąłem go mocniej. Chciałem go uchronić przed kulami i wziąłem w siebie tysiące kul, które noszę w sobie. Nieraz pragnąłem, aby to pytanie mojego synka ludzkość usłyszała.

— Nie usłyszy, nie zrozumie, nie odczuje i nie zapamięta.

— Wiem. Musiałoby zamieszkać w ciele umęczonego narodu, musiałoby nosić kule wyjęte z serc rozstrzelanych.

III.

W Przerowie przesiadka. Do pustego przedziału wkroczył Czech, obładowany sprzętem myśliwskim jakoby spełniał zadanie okna wystawowego. Zaraz opowiadał o przygodach w polu, w lesie, przechwalał się strzelbą ostatnio nabytą. Jechał ze stron beskidzkich na zawody strzeleckie do Berna.

— Może pan zyska pierwszą nagrodę.

— O tym nigdy nie myślę. Myśliwstwo to moja przyjemność, której nauczyłem się w Polsce. Dzisiaj po ośmiu latach po raz pierwszy będę strzelał. Niemcy zabrali strzelby, dlatego nie ma jednego dobrego strzelca. Te lumpy wszystkich zabrali — z pogardą wymawia imię niemieckie jak zakałę ludzkości. Polska dużo przecierpiała, ale Czesi też...

Mój współtowarzysz chodził do szkoły ludowej w Zawierciu przed wojną światową, z rozrzewnieniem wspominał lata spędzone, kolegów z ławy, nauczyciela, którego pamięta dokładnie, wycieczki, łowy motyli i chrabąszczy. Opowiadał z rozrzewnieniem niezwykle wyraziście o przygodach wesołych, zdarzeniach, jakie zostały w jego pamięci. Od jego słów biła jasność jak od słońca, które rodziło się dzisiejszej nocy w różowych obłokach, by okazać ziemię morawską żyzną, szczęśliwą bogactwem i dobrobytem.

W czas rano z Berna już wyjechali literaci na zjazd do wsi Brumowice, odległej o 60 kilometrów. Nie ma żadnego połączenia. Pociąg odchodzi dopiero po południu. Co czynić? Siadłem w kącie i ćwierknąłem żałośnie jak ptaszę z odłamanymi skrzydłami, stęsknionymi lotu. Gorzkimi łzami oblałem zimną posadzkę, zmienioną w tej chwili w czysty strumień.

W czasie moich lamentów, mających wzruszyć skały, uprzejmy zarządca hotelu „Europa" dzwonił na wszystkie strony i z uśmiechem powtarzał po wielekroć: — Spisowatel z Polski. — Ech, głos wołającego na puszczy — pomyślałem. Wreszcie radosny okrzyk zwiastujący cud. — Jadę. — Wspaniałe auto unosiło zniecierpliwione ciało w nieznaną dal. Przecinaliśmy równinę pszenną, pokrajaną szeregami drzew owocowych. Ukazywały się domy, umalowane odświętnymi barwami, śmiejące się oknami. Mijaliśmy w polu procesje jakby łąki zmieniły się w stroje ludzkie. Załopotały chorągwie. Rozbłysły instrumenty, orkiestry, wydmuchujące w słoneczną przestrzeń melodie nabożne, chwalące łaskawość Boga, darzącego wszelkim dobrem. Wybiegały nazwy miejscowości — tutaj urodził się baśnik, tam mieszkał i tworzył nasz dramaturg, — nauczyciel i ksiądz — to dwa wyrazy z największym uszanowaniem wymawiane za zasługi położone na polu odrodzenia narodowego. Gdzieś tablica spiżowa, gdzieś pomnik, czczący pamięć synów tej ziemi, poległych w boju o wolność. Znów z kościołów wypłynął tłum, wynurzyła się struga barwna, jakby kwietnik, który ukazał się i zginął wśród drzew. Dziewczyny w strojach ludowych.

Oczami uwielbiam widziane cuda chociaż pełny jestem dynamitu, rozsadzającego ziemską powłokę. Kiedy zdążę? Patrzę na program i zegarek. V 8 hod slavnosti bohoslužby". Już po nabożeństwach. „V9. hod ve škole zahajeni vystawv pamatek na dra Jana Herbena, vystavy lidove umelecke, wyroby a starych umeleckich pamatek z Brunovic a okoli".

Już minęła 9-ta, już nie będę na otwarciu wystawy pamiątek po Janie Herbenie i artystycznych wyrobów ludowej sztuki. W zaślepieniu zakląłem szpetnie. Całe szczęście, że biurokrata polski daleko, bo gotów pociągnąć do odpowiedzialności, winowajcę popełniającego zbrodnie w afekcie.



JAN HERBEN
wg. rys. V. *Kovarika*

Odrywam się od gorzkiej współczesności i uzmysławiam sobie postać Jana Herbena (ur. 1857, a zmarł 1936). Pisarz, publicysta, dziennikarz, polityk rewolucjonista. Zajmuje wybitne stanowisko w historii literatury czeskiej i życia tak w chwilach smutnych jak i radosnych. Jest on w ciągu długich lat niezmordowanym pracownikiem służącym swemu narodowi w dniach niewoli i wojownikiem walczącym piórem o prawa człowieka i o odrodzenie duszy w ewangelii głoszącej miłość prawdę, sprawiedliwość. Entuzjasta ludu, jego nauczyciel, jego nieraz bardzo surowy wychowawca, zbieracz pieśni, obrzędów, malarz jego smutków, trosk, miłości do ziemi. Można by powiedzieć, że jest czeskim Reymontem. Ziemia i lud — to treść jego dzieł. Z gleby morawskiej, z jej piękna i tragizmu, z wesela i z boleści wyrosła szeroko znana kronika rodu słowackiego Macieja Hrabca. („Do trzeciego i czwartego pokolenia"), którego potomkowie w ciągu jednego stulecia coraz bardziej oddalają się od wsi, od ludu, zatracając jego pierwiastki. wypiastowane w urokach przyrody, słońca, stają się drzewami bez korzenia wskutek niszczycielskiej działalności warstw wyższych, ulegających klasowym uprzedzeniom społecznym i religijnym. Słowo jego było instrumentem służącym narodowi. Przez długie lata był wiernym towarzyszem w walce, w trudach Ojca Ojczyzny Masaryka, był głosicielem jego idei, prostował ścieżki, a nieraz wyrąbywał je w skale. Minister Oświaty Stransky nazwał go „Masarykowym Janem Chrzcicielem i Janem Ewangelistą w jednej osobie". Dla młodzieży napisał książkę bodaj że dzisiaj najbardziej popularną. „Chłopiec biedny", do której treść zaczerpnął z bardzo ciężkiego okresu życia terminatora kowalskiego, wychowanego w krzywdzie i ucisku — T. S. Masaryka.

Odświętnie, choć skromnie ubrane Bramowice przeżywają dzisiaj ważny i piękny dzień. Wszędzie uroczysty nastrój. Zatrzepotały chorągiewki, mignęły dwa napisy powitalne ponad gościńcem: „Herbenowa gościnna miejscowość wita Pisarzy", „Pozdrawiamy naczelne władze i przedstawicieli mocarstw zaprzyjaźnionych". Każdy dom inaczej malowany, radował oczy. Ludność katolicka, ewangelicka, a nawet bezwyznaniowa. Dzisiaj nie ma różnic. Wszyscy zbratani i zjednoczeni w hołdzie dla pisarza czeskiego, jego zasług. , Nabożeństwa ku czci Herbena, należącego do wyznania „Braci czeskich", odbyły się w kościele katolickim i ewangelickim. Zjazd odbywał się w salach należących do stowarzyszeń katolickich, jak i postępowych.

Dziesiątki rąk wyciągnęły się na powitanie gościa z Polski, który miał wrażenie, że znalazł się wśród najbliższych. Więc Martinek, prezes koła, znany i kochany poeta, dramaturg, Prokupek, wybitny pisarz, malarz wsi i ludu, przy tym niezrównany dyrektor spółdzielni wydawniczej. Urbankowa, czołowa poetka, Marcha, morawski Zagłoba pełny radości życia, Knap — świetny prozaik i członek Akademii Literatury i Sztuki, Krzelina, autor szeregu powieści historycznych. Knob — pisarz i bogacz, zagarniający świat ramionami i serca ludzkie, Janouch wielbiciel Norwida i tłumacz dzieł polskich, wyrosłych z najszlachetniejszych porywów prof. Kolaja, prezes tow. polsko - czeskiego, niezmordowany pracownik na polu zbliżenia polsko - czeskiego, Gerżabek i wielu, wielu innych. W ciżbie zajaśniała srebrna głowa nestora pisarzy dr. Józefa Switlika, piszącego pod pseudonimem Jana Karnika, który Polskę kocha jak drugą Matkę. O tym starcu zawsze młodym, zawsze pełnym entuzjazmu i miłości do poezji polskiej obszerniej napiszę kiedy indziej.

Przebiegam myślą, kreślę dorywczo to, co zapamiętałem. Sniadanie w wielkiej sali „Orla" katolickiego, gdzie zasiadły setki gości z różnych stron, przy tych samych stołach chłop obok ministra, pisarz obok rzemieślnika, syn z miasta, ozdoba uniwersytetu, obok swego ojca spracowanego, dostojnik kościelny bez żadnych odznak obok swej siostry, córka w kapeluszu, obok matki w stroju ludowym. Wszyscy członkami jednej rodziny.

Właściwy zjazd odbywał się w sali „Sokoła", zawsze mającego znamię postępowego, demokratycznego i inowierczego. Setki z Brumowic i okolicy, a to wszyscy, którzy znają dzieła autorów, i teraz przyszli, aby zobaczyć ich żywych. Przybyło przeszło 80 pisarzy, poetów, dramaturgów, nieraz z najdalszych stron Czech, nie tylko po to, aby złożyć hołd zmarłemu, ale też związać się w jednej idei, jakiej służą wiernie wedle swoich sił i zdolności dla dobra narodu i człowieka.

Pieśni. Muzyka. Delegacje młodzieży jakby bukiet najpyszniejszych kwiatów. Powitanie przez miejscowego proboszcza, przemówienia przedstawicieli władz, ministra etc. etc., między innymi prezesa pisarzy słowackich. Jana Poniczan. Przybysz z Polski przytoczył słowa Mickiewicza, jakie wypowiedział w czasie wykładów o literaturze słowiańskiej o budzicielach narodu czeskiego — tych ascetów średniowiecznych: „Przypominają w gorliwości ojców kościoła, zamiłowanych w narodowości, jak tamci święci ludzie w religii, nie myślący o sprzedaży owocu swoich nauk". — I jednym z tych był Herben, który podjął się ogromnej pracy, poniósł książkę, jak pochodnię do ludu, o którym powiedział Mickiewicz, że zachował słowiańskość i że on stanie się źródłem odrodzenia narodowego. Chłop czeski, nieskażony niemieckimi wpływami, moralny, pracowity, zachował mowę i duszę czeską, przywiązanie do obyczaju i ziemi przodków". Jan Herben z góry Tabor, zobaczył niewolę i krzywdę chłopa, najmitę, wyzyskiwanego przez dwór niemiecki. Tabor biblijny jest symbolem odrodzenia człowieka i zbratania narodów. Tabor czeski, jest znakiem przemiany ducha czeskiego w imię nieskażonej ewangelii. Jan Herben zrozumiał, że miecz zwycięski na górze Tabor został wytrącony pod Białą Górą z rąk wojownika, walczącego o byt i życie narodu czeskiego. Jan Herben podjął skrwawiony miecz, wyorany pługiem chłopa i zmienił w oręż, jakim jest pióro. I tym orężem wytrwale, niezłomnie walczył o prawa dla narodu czeskiego i dla skrzywdzonego. — Zakończył urywkiem z pieśni husyckiej, śpiewanej w czasie pochodów i walk o bożych wojownikach. — Takimi wojownikami są pisarze walczący o dobro człowieka, o zbratanie narodów w miłości i prawdzie.

W skupieniu uczestnicy wysłuchali przemówień „urzędowych", które były głosem ogółu. I tak Loubal, długoletni więzień obozów karnych, wiceprezes Krajowego Narodowego Wyboru, między innymi powiedział: „Pisarze są sumieniem narodu. Byłoby dobrze, żeby nie tylko reprezentowali sumienie narodu, ale też walczyli o jego wolność". Szczególniejsze wrażenie wywołało przemówienie ministra oświaty Stranky'ego, pełne polotu poetyckiego i mądrości męża stanu. Mówił on o powinnościach pisarzy, o ich posłannictwie w służbie dla jedności narodowej, która zawsze i wszędzie jest koniecznością. Apelował do pisarzy, aby stali na straży swobody słowa i z naciskiem podkreślił, że pisarz w swoim posłannictwie winien zawsze pozostać indywidualistą. „ Herben, podobnie jak Masaryk nigdy nie był chwalcą swoich dni — mówił minister Stranky. Przeciwnie, podobnie jak Masaryk, był ich krytykiem i to surowym. I nam — ich spadkobiercom — nie wolno dbać o to przede wszystkim, aby naszym najważniejszym, państwowym narzędziem miała być kadzielnica, gdyż potrzebne są nam i prawdziwa wolność i krytyka. To jest prawdziwa demokracja, gdy jest otwarta krytyka — zawsze nawoływał Herben. Nie znaczy to bynajmniej, byśmy się mieli ze sobą kłócić, czy bić, lecz byśmy w zgodzie pracowali; wiele dokonamy i zdobędziemy, jeżeli będziemy wszyscy żyli z miłością w sercu do prawdy i wspólnej sprawy. Miłość, jako najpiękniejszy twór ludzki, będzie w nas rosła i wydawała owoce, których na wieki będą używali dla swego dobra nasi potomkowie. Zostańmy wierni prawdzie i wierni jedności".

Na zakończenie zjazdu pisarze odczytali rezolucję — orędzie, uchwalone jednogłośnie, a ogłoszone drukiem na łamach pism. Zawarli w jej słowach wyznanie wyrosłe z potrzeb dzisiejszych czasów: „Pragniemy rozwijać najczystsze tradycje swego ludu: wierność, pracowitość we wszystkich służbach narodu, a przede wszystkim uczciwość i rzetelność. Potępiamy wszystkie nieludzkie czyny, które depcą przyrodzone prawa humanitarności. Odrzucamy i odsądzamy wszelki egoizm, wszelkie zło, które ośmielają się bezcześcić czystość rewolucji narodowej. Przezwyciężamy stronniczość — sprawiedliwą wolą pracy dla dobra ogółu. Przeciwstawmy korupcji poświęcenie i gotowość ofiary, zwalczajmy tchórzliwość męstwem, bezprawie gorącą miłością prawdy i sprawiedliwości. Brzydźmy się kłamstwem, poniżaniem i gnębieniem prawdy przemocą. Jesteśmy wolni. Ale wolność nakłada oprócz praw, także ciężkie obowiązki. Brońmy wolności i zostańmy wierni i uczciwi wobec siebie i wobec całego ludu".

W czasie zjazdu i uroczystości Herbenowych pisarze morawscy witani byli przez wszystkich jako dobrzy znajomi, jako przyjaciele, których dzieła zna się i ceni. Oni nie idą z ludem, nie przewodzą ludowi, ale są rodziną zjednoczoną sercem, duszą, wszystkimi pragnieniami i dążeniami. Tutaj nikt nie wchodzi w lud, nikt nie mówi, że jest ozdobą, przewodnikiem, narzucającym swoją wolę, tutaj wszyscy są z ludem,

Jan Wiktor

(Dokończenie w następnym numerze)

Film TYGODNIA



Fot. Film Polski

Wizyta polskiej delegacji rządowej w Pradze przyczyniła się do dalszego pogłębienia przyjaźni polsko - czechosłowackiej. Na zdjęciu: premier Cyrankiewicz witany na stacji w Pardubicach



Fot. Film Polski

Na ziemiach polskich odkryto nowe cmentarzysko. Tym razem chodzi o szczątki żołnierzy Armii Czerwonej, zamęczonych przez Niemców. Oto pole śmierci w Grondach



Echa konferencji paryskiej: Minister Mołotow pije kawę na przyjęciu u prezydenta Francji — Auriola. Gospodarz pyta, czy smakuje



Fot. Film Polski

Ochotnicze Bataliony Pracy pracują przy odbudowie Warszawy. Po pracy na słońcu zimna woda sprawia młodym chłopcom wielką przyjemność



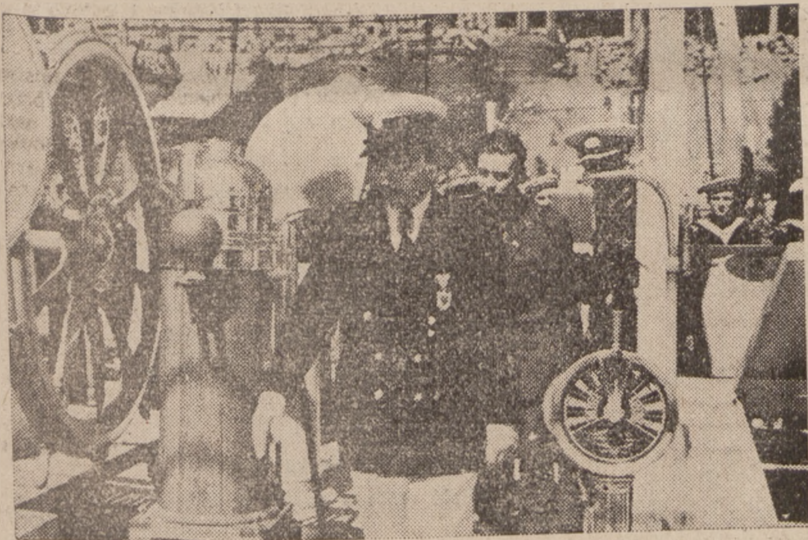
Fot. Film Polski

Prezydent Bierut w towarzystwie gen. Spychalskiego i min. Kaczorowskiego na wystawie BOS-u „Budowa mostu Śląsko-Dąbrowskiego"



Na moment przed rozpoczęciem walki?... Rzeczywistość czy teatr?... Ani jedno, ani drugie — a właściwie: jedno i drugie. Rzecz się dzieje na najelegantszej ulicy Paryża: Avenue de Champs Elysees. W dniu dorocznego balu Akademii Sztuk Pięknych stada najdziwaczniej poprzebieranych adeptów malarstwa i rzeźby przedefilowały przez Paryż. Defiladzie towarzyszyły znaczne siły policji, gdyż rozbawieni partyzanci sztuki wpadali gromadą do najelegantszych restauracji, porywając ze stolików, sprzed oczu zdumionych gości restauracyjnych, butelki i kieliszki z alkoholem, pożerając na miejscu te i owe dania, które im przypadały do gustu.

Jeśli chodzi o sam bal, to nie tylko członkowie Zbawienia uważają go za zapowiedź piekła. Na bal, prócz członków Akademii, uczęszczają tylko żądni wrażeń snobi (wstęp na bal — dwa tysiące franków). Uczestnicy balu są zobowiązani do przynoszenia z sobą blaszanych kubków do picia, gdyż jak wiadomo, szkło tłucze się łatwo.



Fot. Film Polski

Prezydent Rzeczypospolitej wziął udział w uroczystościach Święta Morza w Szczecinie. Towarzyszył mu minister Żeglugi A. Rapacki.

Janusz Minkiewicz

W CHMURY, MIŁY



I.

Lata ptaszek po ulicy,
Ponad domy sobie leci —
Dzieci też by chciały latać,
Lecz nie mają skrzydeł dzieci.

Często myśli z was nie jedno,
Gdy nauka mu obrzydła:
— Tak bym chętnie wzbił się w chmury,
Lecz potrzebne na to... skrzydła!

Był już jeden, co tak myślał:
(Przed wiekami żył ten chłopak)
— Będę latał nic nie szkodzi,
Że naturze to na opak!

Ikar (tak mu bowiem było),
Nic nie mówiąc swej mamusi,
Sklecił skrzydła dwa ogromne
Z piór kogucich, czy też strusich.

— Skrzydła mam, lecz jak je sobie
Umocować na wzór ptaka? —
Myśli Ikar, aż do głowy
Myśl mu nagle wpadła taka:

— Mam! Do ramion je przykleję
Woskiem, który mocno spaja! —
Jak pomyślał, tak i zrobił
I do lotu się nastraja.

Na pagórek wszedł i zaczął
Ramionami machać, które
Skrzydła miały u swych boków,
Więc uniosły chłopca w górę.

Aż zadziwił się sam Ikar,
Coraz wyżej mknąc do góry,
Że tak łatwo mu przychodzi
Nad najwyższe wzbić się chmury...

Już nie widać ziemi prawie,
Słońce tylko coraz większe,
Coraz bliższe, a powietrze
Z każdą chwilą jest gorętsze.

Coraz cieplej Ikarowi,
Pot mu z czoła gęsto kropi...
Wtem — o zgrozo! — czuje Ikar,
Że się wosk od żaru topi.

— Nie utrzyma wosk mych skrzydeł! —
Ikarowi lica zbladły,
Nim pomyślał, wosk się stopił,
No i skrzydła mu odpadły.

WIERSZ DLA DZIECI

Zbytnią ufność w siły własne
Często w nas natura karze!
Ikar zaczął spadać na dół...
...I wnet było po Ikarze!

Lecz nie płaczcie nad Ikarem
I go nie żałujcie zbytnio,
Bo los jego nie jest prawdą,
Lecz legendą starożytną...



Nazywał się on — Leonardo

Ta legenda chciała ludzi
Do ważnego skłonić wniosku:
Gdy chcesz latać, nie wystarcza
Para skrzydeł, trochę wosku...

Nie pomyślał o tym Ikar,
A więc morał płynie stąd, że
Jeśli chcesz koniecznie latać,
Próbuj to uczynić mądrze...

II.

Zaczęli rozmyślać uczeni,
Jak w chmury unieść się z ziemi?
Myśleli od lat trzech tysięcy,
A może i jeszcze więcej —
Badacze, filozofowie,
Odkrywcy, astronomowie,
Nauczyciele, pisarze,

Matematycy, kreślarze,
Mnisi, magowie, doktorzy —
Jak stać się panami przestworzy?
Starali się stworzyć prawidła
Na jakieś cudowne skrzydła,
Wciąż nowe robili modele,
Lecz przyszło im z tego niewiele,
Bo co wymyślił je który,
Nie chciały się unieść do góry...

Wśród owych odkrywców (czy wiecie?)
Był malarz największy na świecie,
Nazywał się on — Leonardo,
A wolę miał twardą i hardą,
I myślał, by człek latał tak,
Jak lata każdy ptak.

Więc tworzył i tworzył ryciny,
Latające na nich machiny,
Lecz, że były tylko na obrazku —
...Nie doszło do wynalazku.

III.

Po latach wszystkim obrzydła
Wiara w sztuczne machiny i skrzydła
Jęło szukać innego sposobu,
By oderwać się wreszcie od globu.

Pan Montgolfier z Francji rodem,
(czytać trzeba: Mą - gol - fje).
Zrobił balon, a pod spodem
W koszu sam umieścił się.

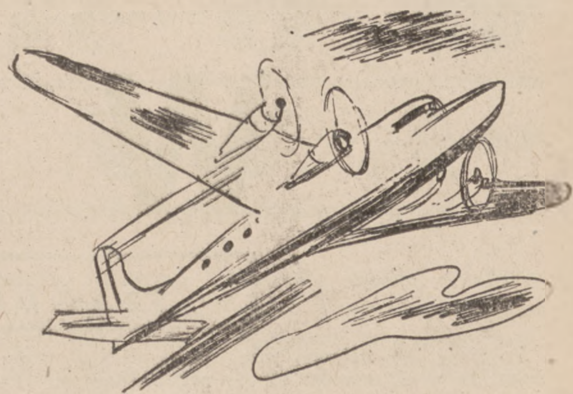
Z nagrzanym balon powietrzem
Wzniósł się, gdy puszczono sznur
Montgolfier się kołysał na wietrze,
Pierwszy człowiek pośród chmur.

Pierwszy raz od lat tysięcy
Wieść radosna poszła w świat.

Odtąd ludzi coraz więcej,
Poszło w Montgolfiera ślad.

Ilustr. J. M. Szancer

W CHMURY BRACIE



Aż ktoś wpadł na pomysł raz.
— Co jest lżejsze od powietrza?
— Gaz!

Więc zaczęli robić próby,
Jak by gaz ten ująć w kluby.

Pierwszy lot był najtrudniejszy,
Po nim nastąpiły dalsze,
Coraz dłuższe, coraz śmielsze,
Z każdym rokiem doskonalsze.

Wreszcie balon wyszedł z mody
I przed niewieloma laty
Spróbowano robić pierwsze
Do latania aparaty.

Z płótna znów zrobiono skrzydła,
Lecz o skrzydła teraz mniejsza.
Dobry motor, ster i śmigła —
W tym rzecz była najważniejsza.

Pierwsze takie aparaty
Dziś wydają się pokraczne —
Śmiałkiem lotnik był, co orzekł:
— Na nich właśnie latać zacznę!

Dzięki takim jak on zuchom,
Co ryzyka się nie bali,
Świat w budowie samolotów
Z każdym dniem się doskonalił.

Dzięki mądrym inżynierom,
Mechanikom i lotnikom,
Dzięki majstrom pracowitym
I ofiarnym robotnikom. —

W eleganckich samolotach
Dziś miliony ludzi lata
I nie trudno im przelecieć
W trzy dni naokoło świata..

IV.

Na Okęciu lotnisko
Pełne jest samolotów:
Ten się właśnie opuszcza,
Ów się czai do lotu.

Tamten już wylądował
I do portu się zbliża —
Ledwie pięć godzin temu
Odlatywał z Paryża.

Inny rusza do Moskwy
I w pięć godzin, wygodnie
Zrobi drogę, co dawniej
Trwała długie tygodnie.

A tu ten co specjalnie
Dzisiaj nas zaciekawia:
Ten ogromny samolot
Weźmie nas do Wrocławia.



Pan Montgolfier z Francji rodem, zrobił balon,

— Każdy, kto kupi bilet
Do kabiny się zmieści:
— Proszę miejsca zajmować,
Odlot: pierwsza trzydzieści.



Pierwsze takie aparaty
dziś wydają się pokraczne

Motor huczy, a śmigła
Kręcą prędzej się, prędzej...
Nim postrzegłeś, samolot
Po murawie już pędzi.

Jeszcze chwila, a nie ma
Już pod tobą murawy
Widzisz tylko przez okno
Małe domki Warszawy.

Lecz Warszawa ogromna
Po minucie też ginie —
Nad lasami, polami
Już samolot nasz płynie.

Czasem wpadasz w emocje,
Jednak nie niebezpieczne,
W czasie lotu powstają
Częste „dziury powietrzne" —

Leci równo samolot
Wtem zapada się w próżnię:
Zda się: spadnie na pewno,
Lecz — sekunda — i już nie.

Lecisz ze dwie godziny,
Aż nadchodzi ta chwila,
Kiedy widzisz, że w dole
Ziemia w bok się przechyla.

Ale szybko spostrzegasz,
że to było złudzenie:
To samolot tak skręca,
Aby opaść na ziemię.

Lekko pola dotyka —
Kiedy? Nawet nie czujesz
A już jedziesz po ziemi,
Znaczy, że już lądujesz.

— Tak się dobrze leciało!
Czy nie można by dłużej?
Lecz to „Wrocław"! „Wysiadać"
Czyli koniec podróży.

Helena Boguszewska | Ilustr. Kazimierz Mann

WIOSNA

FRAGMENT POWIEŚCI „CZEKAMY NA ŻYCIE"

Po zimie bez żadnego przejścia przychodził nagle taki dzień, że w wiosennym słońcu paltocik wyrobu Herszka stawał się nie do zniesienia, włosy lepiły się do czoła pod czapką ze sztucznego baranka, i wszystko krzyczało o lecie i o Łucku. Niedalej jak jeszcze wczoraj czy pozawczoraj z ustawionych brzegiem chodnika kup śniegu sączyły się bure strumyki do rynsztoków, a dziś o śniegu nie ma mowy, i — mamo, mamo, jak gorąco, jak strasznie gorąco, ja zdejmę palto, ja nie wytrzymam, mamo, mamo!

Mama sama ledwie się wlecze poprzez popielaty od słońca asfalt chodnika. Mama, choć nigdy nie choruje, ale ma bardzo mało siły, a tu jeszcze ja się zwieszam u maminego łokcia, i mama musi mnie ciągnąć. I choć wszystko krzyczy o Łucku i o lecie, to obie z mamą dobrze wiemy, że do chwili, kiedy się zacznie doroczna dyskusja jak jechać, na Kowel, czy na Brześć, upłynie jeszcze długi, długi okres spacerów dla mojego dobra, kłopotów z letnią sukienką, spacerów dla mego zdrowia, trosk o letnie pantofle i płaszczyk, jeszcze raz spacerów. A do tego czyszczenia letnich kapeluszy słomkowych siarką z sokiem cytrynowym... i ta nieskończenie długa droga z Nowogrodzkiej do Łazienek, zawsze u maminego łokcia, przez całą długość Alei, gdzie inne dzieci biegają i bawią się...

W Alejach zaraz na samym początku mijamy kamienicę, w której mieszkają jacyś państwo Grosserowie, z kilkorgiem dzieci. A fotografia tych dzieci, ustawionych rzędem w płóciennych kapelusikach, stoi na kominku w salonie u państwa Kwietniewskich. Czy to nie dziwne? I jakie te dzieci są szczęśliwe! Raz dlatego, że ich jest tak dużo. Po drugie dlatego, że parter tej kamienicy ma wyjście na malutki ogródek, odgrodzony od Alei żelaznymi sztachetami. Do ogródka tego można wyjść oszklonymi drzwiami, po schodkach o paru stopniach. Dlaczego te dzieci nie bawią się w ogródku? Ani razu nie widziałem, żeby które z nich schodziło po tych schodach, ale o niepojętym ich szczęściu mogłam rozmyślać aż do samych Łazienek.

Tu znowu mijało się dziwny dom o wysokich, żelaznych kręconych schodach. Nikt na świecie nie wie, dokąd te schody prowadzą. Sprawę tych tajemniczych schodów można znowu rozważać aż do samego okrąglaka.

W okrąglaku radość przyobleka się w kształt piernika zwanego brukowcem. Jest więc bardziej realna i zdawałoby się dostępniejsza. Jednak dość problematyczna, bo nie wiadomo, czy mama kupi tego brukowca, czy powie, że nie ma pieniędzy. Zależnie od tego spacer będzie dobry, albo niebardzo. Dopominać się o tego brukowca nie można. Przecież wiem dobrze, że mama nie ma żadnych lżejszych pantofli na lato, że te grube czarne pieką i uwierają te i tak wiecznie bolące kostki przy wielkim palcu, i że rękawiczki mamy są bardzo zniszczone, i w ogóle...

Do ogrodu Botanicznego szło się oglądać i podziwiać bzy, wielkie drzewa bzowe zaraz przy samym wyjściu. Dalej siadało się na ławce przed okrągłym ceglanym kadłubem niedokończonej świątyni na pamiątkę konstytucji Trzeciego Maja. I kiedy raz na trzeciego maja pan Stanisław Mieczyński rzucił na tę świątynie bukiecik fiołków, to go zaraz aresztowali, a innych nie aresztowali, choć też rzucali bukiecki. To się nazywało demonstracja.

Pani Kłosińska, siostra pana Mieczyńskiego, wpadła wtedy do nas z płaczem i nikt nawet nie pomyślał, że zbudziła ojca, bo od frontu dzwoniła. Rodzice pocieszali panią Kłosińską, że może pan Mieczyński niedługo będzie zwolniony. Ze sobą jednak rozmawiali potem, że na pewno nie, bo to nie chodziło o ten bukiecki fiołków, tylko o to, że pan Mieczyński uczył polskiego na pensjach.

Pana Mieczyńskiego zesłano do Odessy, gdzie bardzo tęsknił za Warszawą. Potem wrócił i znowu uczył polskiego na ukrytych pensjach...

Zdaje się, że wtedy właśnie zakładano Ujazdowski Park, a może już był, tylko jeszcze młody, bo mama mówiła, że poza kasztanową aleją nie ma tam cienia. Parku Skaryszewskiego nie było chyba jeszcze wcale, a na Saską Kępę jeździło się łódką, z przewoźnikiem, jak na jakąś dziką wyspę. Rosły tam ogromne drzewa i było dużo złodziei. Brat śpiewał:

Saska Kępa ziele-nieje
Tańczą panny i zło-dzieje.

Był jeszcze jakiś folwark świętokrzyski przy ulicy Foksal. Wchodziło się tam przez furtkę, jak na wsi, piło się mleko z razowym chlebem. Saskiego Ogrodu nienawidziłam, choć był wspaniały, nie chodziłyśmy tam z mamą nigdy. Nad Wisłę też nigdy. Nad Wisłę mógł chodzić tylko ojciec z panem Nałkowskim. My z mamą chodziłyśmy zawsze po tych samych miejscach, po tych samych ulicach i wcale nie było o tym mowy, żeby można było iść gdzieindziej, albo pojechać na przykład do Piaseczna, jak ojciec z panem Nałkowskim. Zresztą i te wyprawy ojca z panem Nałkowskim datują się prawdopodobnie z trochę już późniejszych czasów, kiedy pan Nałkowski zaczął przenikać z pokoju ojca do tak zwanego jadalnego i tu pił herbatę już nie jak uczony, tylko po prostu jako ojciec Zosi. Ale zanim do tego doszło, zanim się w tym charakterze ujawnił w mojej świadomości, wiele rzeczy musiało się stać.

Więc przede wszystkim mamę musiały boleć nogi od tych dalekich spacerów do Łazienek tak, że trzeba było koniecznie wymyśleć jakiś bliższy spacer. I wtedy wyłonił się najmilszy, najlepszy ze wszystkich ogrodów świata — ogród Pomologiczny.

Był przy tej samej ulicy Nowogrodzkiej, ale w głębi, bliżej tak zwanych Koszyków. Przychodziły tu same matki z dziećmi, czasem uczniowie z książkami. Ogrodnicy ogorzali od słońca jak na wsi, pracowali na grzędach i przy drzewach owocowych. I tu właśnie, w alejkach, wśród szpalerów tych drzew, czy na zalanych słońcem placykach dokoła klombów, gdzie rozpinano na niskich drutach jabłonie i grusze, tu udawało mi się czasem pobawić z innymi dziećmi.

Mówiło się: czy dziewczynka będzie się bawić ze mną? To znaczy, że tak mówił ktoś odważny. Nieśmiały tkwił na ławce obok matki, umierając ze smutku i tęsknoty, albo, nadrabiając miną, sam sobie rysował patykiem na piasku wieczne „klasy", i rzucając po nich kamykiem, skakał na jednej nodze, ujmując drugą palcami ręki i czyniąc to wszystko w nadziei, że kogoś jednak tym przyciągnie. I nie mogę sobie już przypomnieć, jak to było: czy do mnie podeszły dwie dziewczynki w sukienkach czerwonych w czarne kropki, i w wielkich białych kapeluszach opasanych fularem, czy też ja zdobyłam się na odwagę i pierwsza do nich podeszłam. I czy to były komórki do wynajęcia, czy farby, czy jaworowe ludzie, czy anioł i diabeł?



...a tu jeszcze ja się zwieszam u maminego łokcia

Matki siadały na jednej z ławek otaczających klomb, każda z książką, czy też robotą. Moja mama i mama tych dziewczynek, wysoka, smukła i smagła, pięknej i szlachetnej postaci. Miała poważną twarz i czarne oczy. Ciągle była czymś zajęta. Rozmawiały, a gdy wiosenne słońce zanadto piekło, chroniły się do altany, zielono pomalowanej, niskiej i ciasno owiniętej pachnącym winem. Wchodziło się tam, jak do pieczary pełnej zielonego mroku, prawie ciemnej dla oczu nawykłych do blasku.

Wpadałyśmy do tej altany, przesadnie dysząc, demonstrując rozhukanie i rozlatanie, co miało nie dopuszczać nawet do myśli, że może trzeba będzie już wracać do domu. I znowu latałyśmy po całym ogrodzie, szalejąc i same już nie wiedząc, co ze sobą zrobić: Zosia Nałkowska, Hania Nałkowska i ja.

Tymczasem matki w altanie nie prędko dogadały się, kim są, i że ich uczeni mężowie oddawna się znają i przyjaźnią. Zanim do tego doszło, to już przygodne zrazu spotkania w ogrodzie stały się spotkaniami umówionymi i ustalonymi, zawsze w tym samym miejscu i o tej samej porze.

Odtąd Pomologiczny Ogród to była wiosna, tak samo jak lato oznaczało radość Łucka, Nowego Stawu, lub Czudnicy, a jesienne zmierzchy i zimowe dnie — smutek Nowogrodzkiej dwudziestki. Odtąd każdy wiosenny ranek, to było leżenie na wznak na parapecie okna i wypatrywanie, badanie na małym dostępnym skrawku nieba czy nie będzie przypadkiem deszczu. Potem zanudzanie wiecznie skłopotanej mamy, kiedy wreszcie pójdziemy. Potem wymarsz ze skręconą jak wąż skakanką, z piłką w siatce, z bułką w koszyczku.

Ale to jeszcze nie wszystko. Bo jeszcze wypatrywanie zdaleka czerwonych sukienek i białych kapeluszy może u wylotu alei, może przed altaną, może w gronie innych dzieci. Bo przecież, jeśli już były, to nie stały nieruchomo, tylko się bawiły. A z daleka jak łatwo się omylić, mój Boże! Mignęła znajoma czerwona sukienka? Radość! Nie ma? Zawód i smutek. Po prostu jakby słońce zmierzchło i ogród powlekał się cieniem.

A zawsze mogło się tak zdarzyć, że panią Nałkowską zatrzymała w domu jakaś praca, albo że pan Nałkowski był chory na migrenę. Nigdy nie było absolutnej pewności, choć wszyscy dążyli do tego spotkania.

— Uspokój się, Zosiu — mówiła dobra łagodna pani Nałkowska do rozhukanej córki. — Zosiu, uspokój się!

Rozhukanie zaś wynikało zawsze ze szczytowej, szalonej zabawy w Rinaldo - Rinaldiniego. Nie będzie błogosławiony, kto wymyślił tę besensowną w grę w kupców, zbójów, gońców, szpiega i „przy fortecy". Jak również bezimienny twórca magicznych słów:

ene, due, rabe,
ęczek, pęczek, żabe

ene, due, resz,
ęczek, pęczek wesz!

Wszystko się rozpierzchło z nieprawdopodobnym wrzaskiem, a najwięcej wrzeszczał ten zaszczytnie wyróżniony, ten zgrzany do siódmego potu, ten padający prawie na posterunku, latający, rozszalały — Berek!

Czasem kołysało się wszystko na miejscu, statecznie śpiewnie i zagadkowo:

jaworowe ludzie
co wy tu robicie?
budujemy mosty
dla pana starosty
tysiąc koni przepuszczamy
a jednego zatrzymamy!

Coraz prędzej, coraz prędzej, koło się kręci w miejscu, wiruje, koło zmienia się, wyciąga w węża, wąż wije się w koło, coraz prędzej, coraz prędzej...

jedne są przepustne
drugie są kapustne

coraz prędzej, coraz prędzej

trzecie darowane
czwarte zatrzymane!

I wszystko pędzi jak tabun. Ziemia dudni.

— Zosiu uspokój się — mówi pani Nałkowska. — Bo już dzwonią.

Rzeczywiście dzwonią, nie wiadomo gdzie i kto, ale dzwonią. Nie sposób udać, że się tego dzwonienia nie słyszy, ani, że się słyszy, ale to nic nie szkodzi. Owszem szkodzi, bo ogrodnicy wychodzą, ale przedtem muszą wyjść z ogrodu wszystkie dzieci i wszystkie matki. Jeśli to przerwa obiadowa, to można mieć nadzieję na popołudzie. Jeśli to wieczór, to można marzyć o jutrze. A w każdy wypadku jeszcze razem kawałek do bramy i kawałek ulicą...

Takie to były radości Pomologicznego Ogrodu. Ale poza nimi w domu czaiły się troski o cośkolwiek na lato, bo zawsze brakło pieniędzy. Wypływał Szumski, wypływał wuj Karol, wypływał jakiś Rozen, Luzer, Wirt... Wypływała Bronisia, córka stryja Konstantego, która miała w Łucku wielką pracownię sukien. Po prostu sam Łuck podpływał pod Warszawę ze swoimi sprawami, bo tam przecież było źródło wszystkiego: każda suknia i sukienka musiała być uszyta u Bronisi, tak jak każde palto, mamy i moje, każde ubranie czy szynel szkolny brata przez Herszka. Tylko kapelusze kupowało się w Warszawie. Bez przymierzania, tylko tak na oko. I buciki w Warszawie. Wszystko inne w Łucku.

Późne wiosenne słońce grzało coraz więcej. W gorącym powietrzu, lepkim już od rozprażonej w kotlach smoły do zalewania dziurawych chodników, tuż - tuż wisiało już doroczne zagadnienie: na Kowel czy na Brześć?



250 AUTORÓW „TYGODNIA"

W pierwszym roku swego istnienia „Tydzień" zamieścił prace następujących autorów:

Wojciech Bąk, Stanisław Bezezowski, Marian Bogacz, Helena Boguszewska, Antoni Bohdziewicz, Eustachy Borecki, Jan Brzechwa, Lech Buntkowski, Roman Burzyński, Zbigniew Burzyński, Bolesław Busiakiewicz, Eugeniusz Cękalski, Zofia Chełmicka, Jan Chełmicki, Tadeusz Cieszyniak, Edward Csato, Maria Dąbrowolska, Maria Dąbrowska, Konstanty Dąbrowski, Maria Delavaux, Stanisław Ryszard Dobrowolski, S. Dobrzyński, Tomasz Domaniewski, Stefan Dunin, Stanisław Dygat, Włodzimierz Dzwonkowski, Henryk Eile, Lucjan Fajer (Ognisty), Zygmunt Fijas, Konstanty Ildefons Gałczyński, Stanisław Gąsiorowski, Pola Gojawiczyńska, Ludwik Grossfeld, Stanisław Grzegorzewski, Aleksander Guttry, Br. Helczyńska, Stanisław Hubert, Jan Huszcza, Tadeusz Ilczuk, Jarosław Iwaszkiewicz, L. Jakimiak, Tadeusz Janczyk, Mieczysław Jastrun, Wacław Jastrzębowski, Maria Jeruzalówna, Janusz Jeżewski, Jerzy Jurandot, Michał Kaczorowski, Piotr Kaltenberg, Z. Kielczewski, Jerzy Kirchmayer, W. Korycka, Mieczysław Kotlicki, Władysław Krzemiński, Mieczysław Krzepkowski, Z. Kwaśniewski, Eugeniusz Kwiatkowski, Remigiusz Kwiatkowski, Bolesław Kuźmiński, Jalu Kurek, Władysław Lachowicz, Paweł Hulka-Laskowski, Stefan Leczycki, Leopold Lewin, Edward Ligocki, Zdzisław Lutrosiński, Tadeusz Łopalewski, Jerzy K. Maciejewski, K. Majewski, Barbara Malanowicz, Karol Małcużyński, St. Marciniak, Leopold Marschak, Ryszard Matuszewski, Stanisław Max, Wanda Melcer, Mieczysław Michałowicz, Jan Nepomucen Miller, Janusz Minkiewicz, Zbigniew Mitzner, Edward Osóbka-Morawski, Wojciech Natanson, Jarosław Niecieckl, Józef Niemiec, Paweł Nikodem, Janusz Odrowąż, Władysław Orłowski, Wiktor Ostrowski, Stanisław Pagaczewski, Leon Pasternak, Władysław Pawlak, Marian Pelczar, Zofia Petersowa, Marian Piechal, Jerzy Płażewski, Marian Podkowiński, Julian Podoski, Stefan Pogorzelski, Kazimierz Pollack, Julian Pollack, Seweryn Pollak, Aleksander Janta-Połczyński, Jadwiga Puciata-Pawłowska, Józef Putek, Adam Rapacki, Tadeusz Rapacki, Emil Rappaport, Leon Reinszmidt, Jan Rojewski, Ludomir Rubach, Adolf Rudnicki, Michał Rusinek, Aleksander Rymkiewicz, Jerzy Mieczysław Rytard, Stanisław Saliński, Marek Sadzewicz, Artur Sandauer, Tadeusz Schiele, Leon Schiller, Andrzej Sieczkowski, Wiesław Sieński, Kazimierz Zenon Skierski, St. Skowron, Jan Skulski, Eleonora Słobodnikowa, Włodzimierz Słobodnik, Maciej Słomczyński, Władysław Smólski, Czesław Sobczyk, Leon Sobociński, Kazimierz Sokołowski, Karol Stromenger, Krystyna Strusińska, Tadeusz Sygietyński, Kajetan Szaley, Jerzy Sztachelski, Piotr Szumowski, Stanisław Szwalbe, Jan Śpiewak, Ludwik Świeżawski, Bolesław Wit-Święcicki, Aleksander Then, Grzegorz Timofiejew, Wacław Tobiasz, Stanisław Tołwiński, Antoni Trepiński, Zbigniew Turski, Władysław Twarogowski, Czesław Ufnalewski, Melchior Wańkowicz, Witold Warkałło, Marek Antoni Wasilewski, Marian Weralski, Jerzy Wiechecki, Jan Wiktor, Zofia Wilczyńska, Jerzy Wojciechowski, Roman Wojciechowski, Marian Woyczyński, Czesław Wycech, Andrzej Wyga, Jerzy Wyszomirski, Wacław Zaczkiewicz, Juliusz Zagórski, Laryssa Zajączkowska, A. Zawilski, Karol Zbyszewski, Andrzej Ziemięcki, Zdzisław Zieniewicz, Roman Zrębowicz, W. Zubrzycki, Wacław Zdżarski, Władysław Żelazko, Jadwiga Żylińska, Eugeniusz Żytomirski.

W „TYGODNIU" RYSOWALI

Karol Baraniecki, Edmund Bartłomiejczyk, Maja Berezowska, Bohdan Bocianowski, Michał Bylina, W. Czerwiński, Kazimierz Grus, Tadeusz Kryszak, Irena Kuczborska, Jan Lenica, Bronisław W. Linke, Ha-ga, Kazimierz Mann, Mieczysław Nestorowicz, W. Siemiątkowski, K. M. Sopoćko, Kazimierz Szałas, J. M. Szancer, Jerzy Szwajcer, Henryk Tomaszewski, Ignacy Witz, Jerzy Zaruba i Julian Żebrowski.

AUTORZY OBCY

(w nawiasie nazwiska tłumaczy)

Louis Aragon (Maria Wisłowska), Immanuel Birnbaum, Walery Briusow (Mieczysław Jastrun), Antoni Czechow (Ignacy Witz i Jerzy Wyszomirski), Frantisek Halas (K. A. Jaworski), A. Kryłow (Stanisław Chruścielski), John Dos Passos (Władysław Pawlak), Borys Pasternak (Mieczysław Jastrun), Ilf i Pietrow (Jan Huszcza), Michał Sedlon (K. A. Jaworski), Jiri Wolker (K. A. Jaworski), Anatol Winogradow (Włodzimierz Słobodnik).

WYWIADY „TYDZIEŃ" PRZEPROWADZIŁ:

z prez. Czesławem Bobrowskim, z min. Ludwikiem Grossfeldem, z prof. Ludwikiem Hirszfeldem, z min. Eugeniuszem Kwiatkowskim, z ambas. Oskarem Lange, z Kornelem Makuszyńskim, z Bolesławem Piaseckim, z prof. rektorem Pieńkowskim, z min. Adamem Rapackim, z prokuratorami Sawickim i Siewierskim, z prof. Bohdanem Suchodolskim, z red. Jerzym Szapiro, z marsz. Stanisławem Szwalbe), z min. Czesławem Wycechem, z posłem Labour Party K. Zilliacus'em, z prezesem Janem Żerkowskim.

Wywiady przeprowadzali: Krystyna Kowalska, Jerzy Renatowski, Marek Sadzewicz, Laryssa Zajączkowska i Janina Zakrzewska

Stare wino w nowym szkle

Cóż to jest egzystencjalizm?*). Jeden z jego polskich komentatorów powiada: „Egzystencjalizm wyrywa jednostkę ludzką z łańcucha przyczynowości, do którego przykuła ją filozofia materialistyczna, i obdarza ją absolutną wolnością". Drugi objaśniacz mówi: „Egzystencjalizm naucza, że jedyną prawdziwą rzeczywistością jest istnienie jednostki. Znaczenie skutkiem tego ma tylko śmierć, a życie pozbawione jest wszelkiego sensu. Tezę tę postawił Sartre (twórca kierunku) w sposób następujący: Nie potrzebuję **rozumieć.** Nie potrzebuję **rozumować.** Potrzebuję jednej rzeczy: nie wiedzieć o niczym". Trzeci wykładacz tłumaczy: „Jeżeli Kartezjusz twierdził: myślę, więc jestem (je pense, donc je suis), Sartre za sprawdzian istnienia bierze nie myśl ludzką, lecz czynności fizjologiczne organizmu i oświadcza: mdli mię, a zatem jestem". W tym miejscu nie mogę w sobie stłumić podejrzenia, że ów literat, który mię oświecał, iż w egzystencjalizmie „jakąć rolę odgrywają fekalia", zasłyszał pewnie coś o tych „mdłościach" i przerobił je na swoje kopyto — całkiem wedle sofistycznej zasady, że „człowiek jest miarą rzeczy" czyli: każdy sądzi według siebie. Życie potwierdza nieraz tę zasadę, zarówno jak inną: „castis omnia casta" — dla czystego wszystko czyste, a dla nieczystego wszystko nieczyste.

Na podstawie przytoczonych objaśnień egzystencjalizmu można by—z należnymi, oczywista, zastrzeżeniami i z niejakim prawdopodobieństwem—wyłuskać istotę tej filozofii: byłby to po prostu sceptycyzm — jak świat stary, zanikający w epokach twórczych, aktywnych, konstrukcyjnych i życiuradych, a odradzający się w okresach rozprzężenia, zamętu czy rozkładu ludzkości — podobnie jak w poszczególnym osobniku, gdy jest silny i zdrów, góruje pewność siebie i dogmatyzm życiowy, a gdy choruje lub starzeje się, opadają go wątpliwości i melancholia. Można by przeto do egzystencjalizmu zastosować mądre rzeczenie francuskie: jest to stare wino w nowym szkle.

Przypomnijmy sobie teraz to i owo o sceptycyzmie. Zajrzyjmy do jakiegoś podręcznika historii filozofii. Wyczytamy w nim, że sceptycyzm był ostatnim wielkim nurtem filozoficznym w epoce hellenistycznej, a zrodził się na przełomie IV i III wieku przed Chrystusem, tj. w czasach, gdy Grecja utraciła już swą państwowość i niepodległość, ale gdy wysoka kultura grecka opromieniała całe dorzecze Morza Śródziemnego. Ten świat śródziemnomorski, rozbity politycznie, schyłkowy i przerafinowany, nasycony mądrością wieków i zniewieściały, miał niezadługo ulec surowym, pierwotnym jeszcze, napoły barbarzyńskim Rzymianom. Miała się zamknąć jedna epoka w dziejach politycznych i kulturalnych starożytności, i otworzyć nowa. Sceptycyzm tedy, którego właściwym twórcą był Pirron — głęboki filozof, stał się owocem swych czasów dogasających lecz pięknych, jak piękne bywają chwile przed zmierzchem lub ostatnie dni upalnego lata.

Czego nauczali sceptycy, którzy swą nazwę wyjaśniali w ten sposób, iż są oni filozofowie, tylko „szukający", tylko „rozpatrujący" rzeczywistość — niemocni, by wydawać o niej sądy. Mówili oni tak: poznanie nasze jest ograniczone; nie jesteśmy zdolni do wiernego rozstrzygania jakichkolwiek zagadnień, ponieważ nie wiemy, czym jest w istocie rzeczywistość i jakie są właściwości rzeczy czyli świata widzialnego i postrzegalnego; skutkiem tego wszystkie sądy naukowe są niepewne; każdemu twierdzeniu można przeciwstawić inne, sprzeczne z nim a niemniej na pozór wiarogodne, i z każdą prawdą łączy się jakiś fałsz, tak do niej podobny, że niesposób go od prawdy odróżnić. Toteż musimy się powstrzymywać od wydawania sądów naukowych. To powstrzymanie się zapewni nam spokój, a tym samym szczęście. albowiem szczęście — to spokój ducha. Taki spokój nazywał Pirron ataraksją. Jak ją rozumiał, obrazuje anegdota: zaskoczony w podróży morskiej gwałtowną nawalnicą, Pirron wskazał swym strwożonym towarzyszom jako wzór ataraksji — znajdującą się na okręcie świnię, która z doskonałą obojętnością spoglądała na burzę.

Oto sceptycyzm. To straszne — powiemy, być może. A więc nic nie ma pewnego? Owszem — odrzeknie Pirron — jest. Pewne są nasze sądy o zjawiskach. Pewne jest to, że teraz na przykład chodzę, a teraz piję słodkie wino, teraz zaś słyszę miłe czy przykre dźwięki. Tylko zjawiska są pewne. Już przyczyny zjawisk są nieznane, i nie wiemy. dlaczego wino, które pijemy, jest słodkie; o przyczynach więc zjawisk wyrokować nie możemy.

Zestawmy w ogólnych zarysach egzystencjalizm ze sceptycyzmem, z pirronizmem. Czy nie odnosimy wrażenia, że egzystencjalizm jest pirronizmem, a pirronizm egzystencjalizmem? Dla Pirrona i sceptyków pewne było tylko to, że człowiek, skoro chodzi, pije i słyszy. to znaczy jest, czyli egzystuje. To samo powtarza Sartre: mdli mię, a zatem jestem. Nie potrzebuję rozumieć, ani rozumować — mówi dalej. — Niezdolni jesteśmy nic rozstrzygać — odpowiada mu z pomroki wieków głos Pirrona. — Chcę tylko jednego: nie wiedzieć o niczym — szepcze Sartre. — To moja ataraksja — pobrzmiewa echem Pirron. — Życie jest pozbawione wszelkiego sensu — skarży się Sartre. — Niewątpliwie — wtóruje mu Pirron: — bo jakiż może być sens tam, gdzie nic pewnego nie wiemy? — Tylko śmierć jest ważna — mówi z namysłem Sartre. — Słusznie — przyświadcza mu Pirron: — jest to zjawisko najbardziej tajemnicze w życiu każdego z nas, o którym wiemy na pewno, że nas czeka, że jest końcowym zjawiskiem naszego istnienia, naszego „egzystencjalizmu", ale o istocie i przyczynach śmierci, niestety, nic nie wiemy. — Mimo to wszystko — buntuje się Sartre: — jestem człowiekiem wolnym. — Oczywista — przytakuje z uśmiechem Pirron: — ataraksja jest najwyższą wolnością; można być nawet w więzieniu, lecz gdy się zachowa ataraksję, czuć się bezgranicznie wolnym...

Takby mogli gawędzić ze sobą z odległości 25-ciu prawie wieków dwaj filozofowie. Zresztą, szczególną cechą umysłowości francuskiej jest to, że niejednokrotnie w ciągu swego rozwoju umiała prowadzić interesujące pogawędki z pirronizmem — poczynając już od XVI wieku, od genialnego sceptyka Montaigne'a, który nieraz, z tym samym co Pirron uśmiechem, powtarzał: nic nie można poznać, nic pojąć, nic wiedzieć: zmysły są ciasne, dusze słabe, życie krótkie. I naturalnym wytworem płodnego sceptycyzmu francuskiego była tolerancja i swoboda myśli, w takich oto prostych słowach przez tegoż Montaigne'a ujęta: „Skoro wraz z osobnikami zmieniają się wciąż obrazy i wartościowanie rzeczy, skoro ten sam przedmiot ukazuje jednemu jedno, drugiemu inne oblicze, dziką głupotą („quelle bestiale stupidité!") staje się narzucanie swego mniemania innym".

Egzystencjalizm Sartre'a wydaje się nie tylko pirronizmem, lecz przede wszystkim niezmiennym sceptycyzmem francuskim, który zjawiał się zawsze — jako symptomat — w przełomowych dla kultury francuskiej (a z nią i europejskiej) chwilach: czy to za czasów Montaigne'a czyli w okresie wojen religijnych, czy też w epoce encyklopedystów i Woltera czyli Rewolucji. Sceptycyzm francuski bywał zawsze ojcem rozumnego krytycyzmu i niósł hasła wolności. A nous la liberté! — jakby zawołał René Clair. Ale o tym w następnym felietonie.

Jerzy Wyszomirski

*) Por. felieton „Ależ ci Francuzi" w Nr 27—51 „Tygodnia".

PRACA SPÓŁDZIELCÓW w ZGIERZU
ROZWIJA SIĘ NORMALNIE i POŻYTECZNIE

Zgierz, miasto położone o dziesięć kilometrów od Łodzi, ośrodek przemysłu tekstylnego ze słynną ongiś fabryką wyrobów wełnianych Borsta, liczący dzisiaj około dwudziestu tysięcy ludności, (przed wojną 26 tysięcy), należy do tych miast, których wzrost datuje się od początku ubiegłego stulecia, kiedy to mądry i przezorny reformator finansów Królestwa Kongresowego książę Lubecki zabiegliwy gospodarz, doskonały znawca potrzeb kraju, czynił wysiłki nad uprzemysłowieniem zacofanego i powstrzymanego w swym rozwoju tego skrawka Polski, który na Kongresie Wiedeńskim otrzymał szumną nazwę Królestwa Polskiego.

Magnat zrozumiał, jak rzadko kto, że zasada staroszlachecka, iż szlachcicowi nie godzi się parać żadnym procederem poza uprawianiem „dziadowskiego łanu" i to sposobem praktykowanym bodaj za króla Ćwieczka, doprowadziła ojczyznę do upadku ekonomicznego, wziął się więc gorąco do przebudowy struktury gospodarczej kraju i osiągnął, jak wiemy dobre rezultaty.

Powstawały ośrodki przemysłu włókienniczego, rosły jeden za drugim, czemu sprzyjały ówczesne warunki ekonomiczne, a do czego niemało przyczyniło się istnienie granicy celnej między cesarstwem a Królestwem Kongresowym.

Tak rozrósł się i rozbudował do znacznego miasta Zgierz.

W ślad za rozwojem przemysłu powstała liczna warstwa ludzi żyjących z dnia na dzień, warstwa proletariatu. W miarę upływu czasu robotnicy, drobni chałupnicy - tkacze, ślęczący przy warsztacie, coraz bardziej odczuwali potrzebę obrony przed wyzyskiem. Orgnizowano się, czyniono wysiłki, aby jakoś, w ramach ówczesnego systemu policyjnego, węszącego wszędzie „kramolę", tworzyć ośrodki zaradcze przeciwko wyzyskowi. Jednym z przejawów obrony były kiełkujące dopiero spółdzielnie.

Pierwsza spółdzielnia w Zgierzu powstała w roku 1905. Spółdzielnia ta utrzymała się przy życiu i doszła do posiadania 18 sklepów. Atoli zaciążyły na rozwoju spółdzielni fatalnie rządy sanacyjne. Zaczęła się chwiać, upadać i trzeba było ogłosić upadłość. Z osiemnastu sklepów pozostało zaledwie 5. Ówczesne władze spółdzielni postanowiły połączyć się z Powszechną Spółdzielnią Spożywców w Łodzi, co też nastąpiło w roku 1937.

Od tego czasu Zgierz należy organizacyjnie do ośrodka spółdzielczego w Łodzi co też wychodzi na dobre zrzeszonym członkom i konsumentom. W chwili połączenia spółdzielnia zgierska liczyła nie całe tysiąc członków, obecnie ma ich 6.184. Sklepów było 5, obecnie 14, oraz jeden rybny, jeden artykułów piśmiennych i dwa bławatne. Poza tym dwa punkty rozdzielcze opałowe, piekarnię mechaniczną o zdolności wypieku 3 tysiące kilogramów chleba i 150 kilogramów bułek dziennie.

Aby dokładnie zapoznać się ze stanem spółdzielczości w Zgierzu, udaję się do tego miasta. Jadę tramwajem. Po obu stronach młody las, gęsto podszyty liściastymi drzewami, co dodaje uroku. Spośród kęp drzew bielą się ściany podmiejskich will i domków otoczonych nierzadko dobrze utrzymanymi ogródkami. Po kilkunastu minutach wystrzela w górę wieża kościoła, znów za parę minut, wyłania się potężny masyw gotyku. Małe domki podmiejskie. Jeszcze chwila i jestem w Zgierzu. Miasto czyni wrażenie dobre. Schludne, czyste ulice, gdzie niegdzie kępa drzew urozmaica miejski krajobraz.

Kieruję się wprost do biura oddziału. Tam objaśnia mnie kolega Kawczyński, kierownik oddziału, pozostający na swoim stanowisku od listopada 1945 roku. W krótkich słowach kreśli historię powstania spółdzielni, charakteryzuje stosunki na tamtejszym gruncie panujące, przedstawia liczby.

Z nich dowiaduję się że spółdzielczy ruch ma w Zgierzu mocne podstawy i z dnia na dzień obejmuje coraz szersze kręgi. Jest poważnym czynnikiem w życiu gospodarczym rzesz pracujących. Stawiam pytanie:

Jakie mieliście obroty w ubiegłych latach?

— Kształtowały się one różnie; w zależności od warunków ekonomicznych. I tak w roku 1945, kiedyśmy zaczęli pracę mieliśmy za cały rok 1.750.000 zł. obrotu; w roku 1946 osiągnęliśmy 155.530.000 zł., a w tym roku, za ubiegłe miesiące dociągnęliśmy już do sumy 324.000.000 zł.

— A jak się przedstawia produkcja własna oddziału?

— Posiadamy piekarnię mechaniczną zatrudniającą 12 osób. Piekarnia urządzona jest według wszelkich wymagań higieny i ludzie chętniej kupują pieczywo u nas niż u prywatnych piekarzy. W grę wchodzi nie tylko niższa cena naszego pieczywa, ale i lepszy wypiek. Obecnie Powszechna Spółdzielnia w Łodzi, nasza centrala, przejęła fabrykę cykorji. Na razie produkuje ona 25 ton cykorii miesięcznie. W perspektywie jest osiągnięcie 50 ton miesięcznie, a to po uruchomieniu wszystkich czterech pieców Byle tylko był surowiec. Ale to już rzecz zarządu, który czyni starania w tym kierunku. Gdy się uda, w co nie wątpię, zdobyć odpowiednie ilości surowca, wtedy może Powszechna Spółdzielnia w zupełności zaspokoić potrzeby rynku łódzkiego?

— Czy są oznaki niezadowolenia wśród konsumentów zaopatrujących się w Waszych sklepach, zwłaszcza wśród niezorganizowanych w ruchu spółdzielczym?

— Przysłowie powiada: „nie ma domu bez załomu" — słyszę w odpowiedzi. Nie może również i u nas być bez sarkań i krytycznych uwag. Nie są to jednak głosy mierzące w spółdzielczość, a raczej dyktowane niezrozumieniem trudności, jakie musimy zwalczać w obecnych warunkach ekonomicznych. Na ogół spółdzielczość cieszy się ogromnym uznaniem i sympatią, czego dowodem stale wzrastająca liczba członków. Nie są to członkowie koniunkturalni kartkowi, lecz ludzie o dużym stopniu uspołecznienia, widzący w ruchu spółdzielczym potężny czynnik samoobrony przed wyzyskiem handlarzy i, co najważniejsze, wyższy stopień gospodarki, łączący demokrację gospodarczą z interesem jednostki. Obecnie, na przykład, wprowadzony przez zarząd P.S.S. system obliczania zakupów za pomocą bonów, czy jak kto woli, kontrola zakupów członkowskich, przyczynił się w dużym stopniu do powiązania idei spółdzielczej z jednostkowym dobrem członka.

Jeszcze kilka wyjaśnień i udaliśmy się na zwiedzanie objektów oddziału spółdzielni, rozrzuconych po mieście. Wrażenie ogólne wysoce dodatnie. Zgierz pracuje dobrze. No i samo miasto zasługuje na wyróżnienie z powodu czystości i porządku jaki uderza na każdym kroku. To też zasługa miejscowego samorządu z prezydentem miasta ob. Ostrowskim na czele.

Wacław Karczewski



Wnętrze mechanicznej piekarni P. S. S. w Zgierzu.



Magazyn żywnościowy Oddziału P. S. S., przy ul. Mielczarskiego w Zgierzu.



Dom wypoczynkowy z siedzibą biura oddziału P. S. S. w Zgierzu przy ul. Długiej.

Z placówek wytwórczych „Społem"

Fabryka cykorii i kawy zbożowej w Kłomnicach

W Kłomnicach pod Częstochową istnieje Fabryka Cykorii i Kawy Zbożowej „Społem". Wydzierżawiona od państwa, rozpoczęła produkcję w lutym 1945 r. Fabryka produkuje cykorię i kawę zbożową, zatrudniając 73 pracowników (w tym 63 fizycznych).

Produkcja Fabryki wynosiła: w 1945 r. — 130 ton cykorii i 310 ton kawy. Na rok bieżący zaplanowano wyprodukowanie 300 ton cykorii i 300 ton kawy.

Obroty Fabryki wynosiły: w 1945 r. — 7.000.000 zł, w 1946 r. — 30.000.000, a na rok bieżący zapreliminowano je w kwocie 50.000.000 zł.

Fabryka wyrobami swymi zasilała w roku ubiegłym cały rynek polski. Wyroby jej są szeroko znane ze swego wysokiego gatunku, toteż Fabryka w Kłomnicach wyznaczona została do wzięcia udziału w wystawach w Poznaniu, Wrocławiu i Częstochowie.

Kierownictwo Fabryki w osobie ob. dyr. Lucjana Jankowskiego, pracuje nad dalszym ulepszeniem metod produkcji i nad poprawą warunków pracy robotników. (a)

„Społem" nad polskim morzem

Eksportowa zbiornica jaj i drobiu w Gdyni

Zagadnienie eksportu ma dla każdego państwa kapitalne znaczenie. Toteż każdy kraj stara się coś wywozić, aby za uzyskane z tego wywozu pieniądze sprowadzać z zagranicy to wszystko, co mu jest w jego gospodarstwie potrzebne, a czego niestety sam nie posiada. Potrzeby Polski są olbrzymie. Brak nam wielu surowców i maszyn dla naszego przemysłu, które musimy nabywać za granicą. Aby mieć na ten cel pieniądze, musimy coś wywozić. Zgodnie z tym nakazem Wydział Mleczarsko-Jajczarski Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P. „Społem", jeszcze na jesieni roku ubiegłego wysłał do Londynu próbne ilości jaj, których w tym czasie brakowało na tamtejszym rynku. Polskie jaja wstępnym bojem zdobyły uznanie importerów angielskich i w ten sposób stworzyły się duże dla nas możliwości wywozowe tego artykułu, który nadal jest poszukiwany na brytyjskim rynku.

W roku bieżącym eksport naszych jaj nabrał już cech trwałości i odbywa się na zasadzie postanowień traktatu handlowego polsko-brytyjskiego, który przewiduje wywóz roczny jaj z Polski do Anglii w ilości około 40 milionów sztuk.

Wykonanie eksportu jaj powierzone zostało powołanej specjalnie w tym celu placówce „Społem", występującej p. n. „Eksportowa Zbiornica Jaj i Drobiu". Gdynia—Port, Nabrzeże Polskie, Chłodnia.

Zwiedzamy tę ważną placówkę. Statek angielski „Baltavia" ładuje właśnie polskie jaja, przeznaczone na wywóz do Londynu. Starannie zapakowane w drewniane skrzynki jednego typu, niewątpliwie szczęśliwie i cało dotrą do Londynu. Zanim jednak jaja znajdą się w skrzynkach muszą przejść przez wiele rąk. Dostarczone do Gdyni przez Powiatowe Zbiornice Jaj „Społem" z całego kraju, są tu szczegółowo badane i segregowane pod względem wielkości przez specjalne maszyny, które równocześnie cechują je polskim znakiem eksportowym. Eksportowane są tylko jaja świeże i czyste wagi 13,5 15 i 16 funtów angielskich (waga 120 sztuk). Jaja, które nie odpowiadają tym wymaganiom, są odrzucane i zostają przeznaczone na rynek wewnętrzny. Tak standaryzowany towar odpowiada żądaniom importerów angielskich, którzy sami oceniają jego wartość jako towar pierwszej klasy, co potwierdzają liczne ich listy, jakie otrzymała i otrzymuje Eksportowa Zbiornica Jaj i Drobiu w Gdyni. Dzięki swemu wysokiemu gatunkowi, polskie jaja na rynku angielskim zdobyły mocną pozycję i nie ulegną w konkurencji eksporterom z innych krajów, co dla przyszłości polskiego handlu zagranicznego ma pierwszorzędne znaczenie.

W najbliższej przyszłości Kierownictwo Eksportowej Zbiornicy Jaj i Drobiu w Gdyni przystępuje do eksportu jaj mrożonych w puszkach, wykonywanych ze specjalnej blachy w Gdańsku. Blachę tę nadesłali sami Anglicy. Na towar mrożony pójdą jaja II-go gatunku. Na jesieni br. eksportowany będzie ponadto drób tuczony w stanie mrożonym.

Kierownicy tej ważnej placówki: dyr. Jerzy Skrodzki i dyr. Tadeusz Rapacki wyrażają nadzieję, że jeszcze w br. uda się wywieźć do Anglii 300—400 ton jaj mrożonych i taką samą ilość tuczonych gęsi. Przysporzy to nam pokaźną ilość dewiz, które zużyć będziemy mogli na zakup maszyn i surowców dla naszego przemysłu. (a).

Powszechna Spółdzielnia „Zgoda" w Gdyni

Powszechna Spółdzielnia Handlowa „Zgoda" z o. u. w Gdyni, ul. Pierwszej Armii Wojska Polskiego Nr 37, jest jakby symbolicznym przedłużeniem spółdzielni o takiej samej nazwie, istniejącej w Gdyni przed wojną, po której złośliwy okupant hitlerowski nie pozostawił nawet śladu.

Po usunięciu okupanta, „Zgoda" w kwietniu 1945 r. rozpoczęła swoją działalność i w tej chwili prowadzi na terenie Gdyni 34 sklepy, a w tym 28 kolonialno-spożywczych, 4 tekstylne i 2 gospodarstwa domowego, zrzeszając 6.024 członków i zatrudniając 274 pracowników. Organizacyjnie jest to więc jedna z najsilniejszych spółdzielni na Wybrzeżu.

Obroty miesięczne Spółdzielni zamykają się kwotą około 40—50 milionów złotych. „Zgoda" zaopatruje w towary kartkowe 70 proc. uprawnionych do korzystania z kart aprowizacyjnych mieszkańców

Spółdzielnia posiada własne magazyny i garaże położone w centrum miasta, przy ul. Władysława IV Nr 26. Tabor Spółdzielni składa się z 6 nowych samochodów ciężarowych i 4 wozów parokonnych. W okresie dwuletniego swego istnienia Spółdzielnia dokonała z własnych funduszów inwestycyj na około 3.500.000 zł, a mimo to rok obrotowy 1945 zamknęła bilansową nadwyżką w kwocie ok. milion złotych.

W najbliższej przyszłości „Zgoda" uruchomi własną masarnię, a następnie — w roku przyszłym — wytwórnię wód gazowych i rozlewnię piwa. W projekcie jest również otwarcie warsztatów krawieckich, bieliźniarskich, dla obsługi sklepów i warsztatów szewskich, pracujących na potrzeby pracowników Spółdzielni.

Życie organizacyjne „Zgody" tętni żywym pulsem. Przy sklepach istnieją Komitety Członkowskie, które rozwijają działalność propagandową, dającą pozytywne rezultaty. Spółdzielnia ściśle współpracuje z Radą Związków Zawodowych w Gdyni, i Okręgową Komisją Związków Zawodowych w Gdańsku, a ponadto utrzymuje żywy kontakt z partiami politycznymi. Podkreślić należy harmonijne współdziałanie władz Spółdzielni: Rady Nadzorczej i Zarządu, dzięki czemu nawet w tak trudnych warunkach jak dzisiejsze — osiągnąć można było nadspodziewanie dobre wyniki.

Spółdzielnia Spożywców „Kraj" w Kutnie

Spółdzielnia Spożywców „Kraj" w Kutnie, ul. Królewska 10, istnieje od 1939 r. W czasie okupacji władze niemieckie przejęły spółdzielnię, zabierając cały jej majątek w gotówce i towarach.

Po oswobodzeniu Kutna Spółdzielnia wznowiła swoją działalność. Nie było wtedy nic: ani towarów, ani pieniędzy. Zebrano jednak wśród członków kilka tysięcy złotych i wzięto się do pracy.

Dziś Spółdzielnia „Kraj" zrzesza 500 członków i zatrudnia 8 pracowników. Jej kapitał własny wynosi 680.000 zł. Prowadzi 1 sklep kolonialno - spożywczy. W najbliższym czasie otwiera drugi sklep.

Obroty Spółdzieni w 1945 r. wynosiły 3.554.000 zł, w 1946 r. — podniosły się do 29.000.000 zł, a na rok bieżący preliminowano je w kwocie 36.000.000 zł.

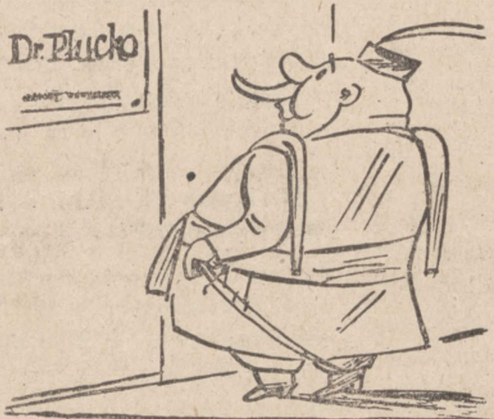
Kierownictwo Spółdzielni spoczywa w ręku trzyosobowego zarządu w składzie ob. ob. Bronisława Skibińskiego, Ignacego Sobczaka i Brunona Kruzego.

Spółdzielnia rozwija się bardzo dobrze, co w znacznej mierze przypisać należy wyjątkowo dobrze dobranemu personelowi z kierownikiem sklepu p. Janem Kołodziejem na czele. (a)

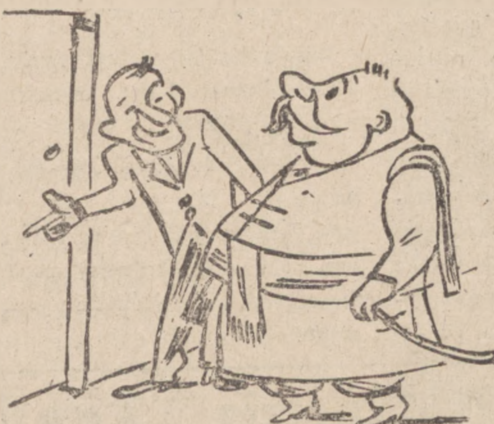
PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. J. Zaruba

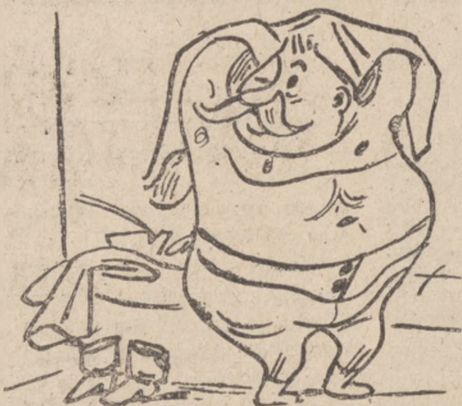
U lekarza



— Trzeba do niego pójść, niech zbada, bo słabość w kościach czuję.



— Doktór zaraz przyjdzie, proszę się tymczasem rozebrać.



— Jednakowoż rycerz bez przyodziewku dość podle wyglądać musi.



— Wszyscy święci! Kto waćpanna jest?!
— Ja jestem właśnie doktór Anna Płucko.

»MILCZENIE JEST ZŁOTEM«



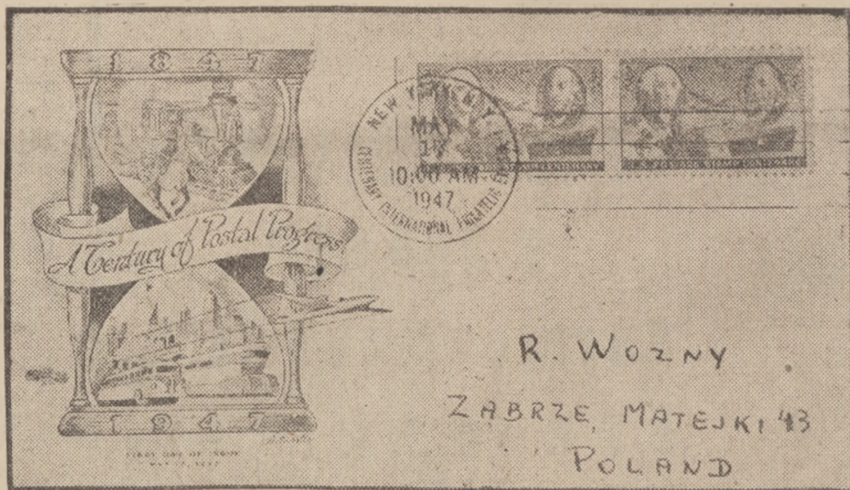
Na międzynarodowym festiwalu filmowym w Brukseli zwycięstwo święcił film francuski. Pierwszą nagrodę przyznano Rene Clairowi za film „Milczenie jest złotem". Oto jedna ze scen tego nowego francuskiego arcydzieła.



Rys. Jan Lenica

— W lipcu urzadza pan ślizgawkę, panie Talarek?
— Cóż robić! W zimie nie miałem czasu!...

KĄCIK FILATELISTYCZNY



100-LECIE ZNACZKA W U. S. A.

W setną rocznicę istnienia znaczka pocztowego w U.S.A. został wydany okolicznościowy znaczek ilustrujący środki przewożenia poczty w dawnych i dzisiejszych czasach. Znaczek jest w kolorze niebieskim o wartości 3-ch centów. By jeszcze lepiej uczcić ten jubileusz, wydano w pierwszy dzień emisji powyższego znaczka specjalną kopertę widoczną na ilustracji. Równocześnie otwarto w New Yorku wystawę filatelistyczną, podczas trwania której używano okolicznościowego kasownika.

R. W.

KRONIKA KULTURALNA

LAUREAT „Tygodnia" Stanisław Dygat, który wespół z Jerzym Szaniawskim otrzymał nagrodę naszego pisma za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945 — 1946, ukończył nową powieść. Ukaże się ona tym razem nakładem „Czytelnika". W rozmowie z nami Dygat skarży się na wydawców zagranicznych. „Jezioro Bodeńskie" wydane w Brukseli w przekładzie francuskim rozeszło się dobrze na tamtejszym rynku i miało przychylne przyjęcie prasy literackiej. Niestety gorzej jest ze ściąganiem honorariów. Idzie ono więcej niż opornie. Jest to druga strona medalu, tego, na co w ostatnim numerze wskazuje „Kuźnica", t. j. na niechęć autorów i wydawców zagranicznych zawierania umów z wydawnictwami polskimi, gdyż bardzo niesumiennie — przeważnie z winy komisji dewizowej — regulują one swe zobowiązania. Ale jak widać z przykładu Dygata, nie tylko u nas w tych sprawach źle się dzieje.

NAGŁÓWEK „Po prostu", taki sam jak przed wojną, budzi wiele wspomnień i przyjemnych skojarzeń. Wznowienie tego bojowego pisma odbyło się w nowym charakterze. „Po prostu" ukazuje się jako organ społeczno - literacki młodzieży akademickiej. W ten sposób ma ono kontynuować swoje świetne tradycje. Ukazanie się tego pisma nie może budzić żadnych wątpliwości, ani zastrzeżeń, poza jedną okolicznością tj. terminem, w jakim go się wydaje. Czyż naprawdę okres oszczędzania papieru, w jakim obecnie jesteśmy, nie nakazywałby raczej zaczekać jeszcze ze dwa miesiące z wydaniem „Po prostu", tym bardziej, że chodzi o pismo młodzieży akademickiej, której życie społeczne w czasie ferii, trwających obecnie, ulega zawieszeniu. Podobne zastrzeżenia budzi ukazanie się nowego pisma ilustrowanego „Kraj", który przygotowywano niemal od roku. Można było jeszcze przeczekać i te dwa miesiące, zamiast budzić przykre zastrzeżenia w sprawie realizacji zarządzenia o oszczędnościach papierowych. Chodzi o to przecież, ażeby one nie były papierowe, tzn. aby nie pozostawały na papierku urzędowym, ale by przyniosły istotne korzyści.

ODBYŁA się w gmachu SARP przy udziale Min. Oświaty S. Skrzeszewskiego, Min. Kultury i Sztuki S. Dybowskiego i licznych przedstawicieli nauki, kultury i prasy — zaproszonych także spoza Warszawy — konferencja, poświęcona omówieniu planu wydawniczego Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Zebranie zagaił dyrektor P. I. W. A. Bachrach, po czym zabrał głos Min. Oświaty dr Skrzeszewski, zaznaczając, że planowanie ruchu wydawniczego jest dziś konieczne nie tylko z tego względu, że nasz dorobek wydawniczy został przez okupanta zdewastowany, ale i dlatego, że musimy dostarczyć narodowi nowych treści, zgodnych z duchem dzisiejszej naszej rzeczywistości. Minister wypowiada się za wciągnięciem do naszej pracy wydawniczej najszerszych mas pracowników naukowych oraz najpoważniejszych zakładów i instytucji naukowych.

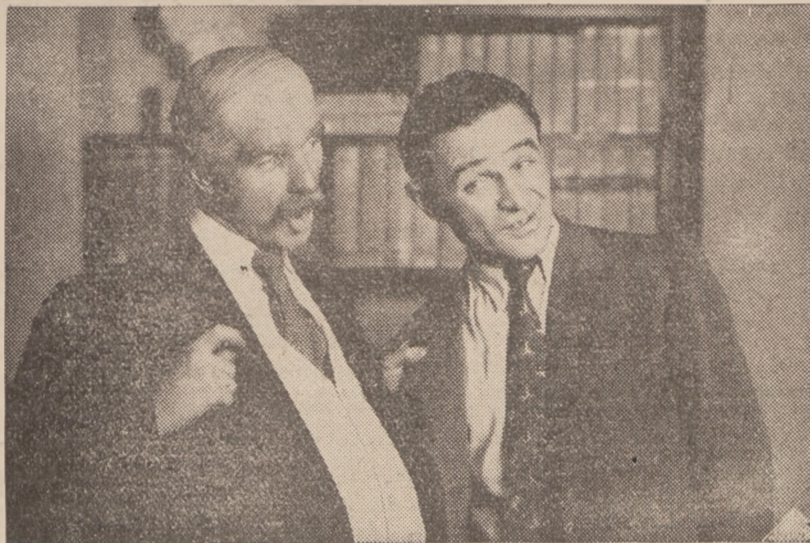
Z kolei wygłosił przemówienie Min. Kultury i Sztuki Dybowski, zaznaczając, że plan wydawniczy winien być wyrazem dążenia do wychowania nowego człowieka w Polsce.

Plan wydawniczy P. I. W. zawierał takie pozycje, jak: Słownik Geograficzny Polski, Dzieje i Kultura Narodu Polskiego, Roczniki Sejmowe; „Polska — Z.S. R. R." (zbiór dokumentów), „W 100-lecie Wiosny ludów" biblioteka pt. „150 lat myśli polskiej", seria „Pamiętników", seria „Życiorysów sławnych Polaków", „Biblioteka klasyków literatury polskiej" (P. I. W. posiada wyłączność na wyd. dzieł Sienkiewicza i Wyspiańskiego) etc.



ICH DWÓCH

Nowa premiera łódzkiej „Syreny" — to komedia Niewiarowicza „Ich dwóch". Na zdjęciu lewym: A. Dymsza i J. Pichelski.



Edward Dziewoński i Adolf Dymsza

V KONKURS „TYGODNIA"
na rozrywki umysłowe

Ogłaszamy V konkurs naszych rozrywek umysłowych, który trwać będzie do 1 września br. Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów, nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 15 września br. Konkurs ten, tak jak poprzedni połączony jest z konkursem autorskim, przy czem uczestnicy konkursu wytypują trzy najlepsze zadania i podadzą na specjalnym kuponie, który zamieścimy przy zakończeniu tego konkursu.

Zadania nadesłane na konkurs poprzedni, a nie zamieszczone dotychczas będą wykorzystane w obecnym konkursie.

UWAGA: Na prośbę miłośników działu rozrywek umysłowych przedłużyliśmy przyjmowanie rozwiązań IV konkursu do dnia 13 lipca br. W następnym numerze podamy rozwiązania, a w Nr 30-54 nazwiska nagrodzonych. Jerzy Polaczek, Jan Trzaska i Czesław Guiski proszeni są o podanie swych obecnych adresów Redakcji „Tygodnia", gdyż wysłane nagrody książkowe — poczta zwróciła.

*

Z powodu urlopów zebranie Komitetu Organizacyjnego Polskiego Klubu Szaradzistów odbędzie się w pierwszych dniach września br. w Warszawie. Wszyscy, którzy pragną wziąć udział w zebraniu, proszeni są o zgłoszenie swego udziału do Redakcji „Tygodnia" — Dział rozrywek umysłowych.

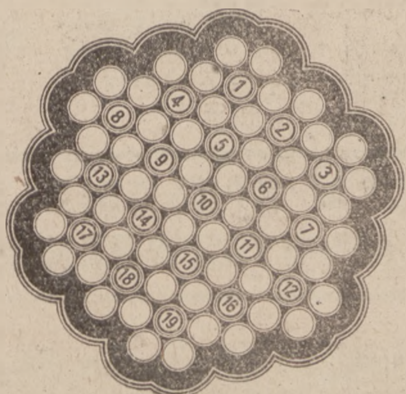
WIRÓWKA

W podaną niżej figurę wpisać 19 wyrazów siedmioliterowych o podanym znaczeniu, których pierwsze głoski, przypadające na miejsce liczb, dadzą nam rozwiązanie o treści, jakże milej i drogiej sercu każdego Polaka.

Znaczenie wyrazów:

1) Osoba coś kupująca. 2) Przełożone klasztoru żeńskiego. 3) Doktryna filozoficzna scholastyczna XIII w. 4) Zachcianka, przysmak. 5) Bohater bajki ze zbioru „1000 i jednej nocy". 6) Rodzaj perkaliku cienkiego. 7) Otwór w osłonach zalążka. 8) Wieża strażnicza. 9) Opera Moniuszki. 10) Produkt wyjściowy barwników organicznych. 11) Poeta rosyjski XIXw. 12) Trener sportowy w dawnej Grecji. 13) Chmury warstwowe. 14) Starogreckie bóstwo śmierci. 15) Część składowa substancji kostnej. 16) Modlitwy błagalne z responsoriami. 17) Nieznany w jęz. martwym. 18) Historyczne miejsce królewskiej pokuty. 19) Broń plemion afrykańskich.

Ułożył Erazm Grójnacki



SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA!

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymał p. Zenon Wrzesiński (Tuchola/Pom., ul. Chojnicka 19) za wycinek z „Trybuny Pomorskiej" Nr 178 (675):

Nowy Jork, 1.7. (PAP). — Izba Reprezentantów uchwaliła w poniedziałek ustawę, na mocy której WYSTĘPY HAWAJSKIE stały się 49-tym stanem U. S. A. Projekt ustawy ma być jeszcze zatwierdzony przez Senat.

Miejmy nadzieję, że senat „występów" nie zatwierdzi.

KIEDY NIE MOŻNA POLOWAĆ?

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych rozporządzeniem z dnia 14 maja br. ustalił czas ochrony dla zwierząt łownych na terenie województwa pomorskiego!... dla sarn — Kozłów od 1.XI. - 31.X... („Trybuna Pomorska" Nr 157-624).

Straszna wiadomość dla myśliwych. Okazuje się, że w woj. pomorskim na kozły i sarny polować można od 31.X. — 1.XI.

ZAGINIĘCIE WIELKIEGO SAMOLOTU AMERYKAŃSKIEGO

Waszyngton, 14.6. (PAP). — W stanie Virginia czyniono w sobotę poszukiwania w związku z zaginięciem samolotu amerykańskiego typu „Skyenaster", który nie dotarł w piątek do lotniska w Waszyngtonie.

Na samolocie znajdowało się 47 pasażerów, w tym jedno dziecko i 3 osoby, należące do załogi. („Trybuna Pomorska" Nr 161-628).

Pasażerów i załogę z samolotu „zdmuchnęło", a samolot pobujał sam, no i zaginął.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia: za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł. W kolorze — 50% drożej
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa Smolna 12 B-3269

WISŁĄ POD TĘCZOWYM SZTANDAREM

Piękna niedzielna pogoda, piękące słońce, przywitało zjeżdżających z całej Polski spółdzielców wodniaków na terenie przystani SKS Warszawa.

Od rana widać było kręcące się załogi, ostatnimi spojrzeniami badające swoje małe „okręty", mające ich przenieść na barkach swych przeszło 250 km.

Godzina 12. Statek „matka" z łopotem rozwianych sztandarów przybił do brzegu praskiego witając z daleka i pozdrawiając rykiem syren niecierpliwiących się sportowców.

Czas odjeżdżać.

Prostymi słowami pożegnali nas przedstawiciele Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczych. Krótki rozkaz złamał szeregi uśmiechniętych postaci.

— Na wodę!!! — Kierunek Bałtyk! Marsz!!!







Fot. Film Polski

Nerwowo odbijały kajaki jeden za drugim. Kolorowa tęcza dumnie łopotała na wietrze. Niemiłosiernie piekące słońce oblało ciepłem nagie postacie. Wstęga Wisły otoczyła szybko wydłużający się sznur kajaków. Z cichym pomrukiem ruszył i stary „Mazur" za nami, by przez cały czas karmić nas i opiekować się.

Warszawa została za nami.

Nie smuciliśmy się, uśmiech zabarwił młode, jeszcze nie opalone twarze ludzi codziennej, monotonnej pracy. Zostawiliśmy po lewej stronie O.O. Marianów na Bielanach. Czas uciekał szybko. Po pierwszym postoju zbliżaliśmy się do Modlina, jednej z naszych najpotężniejszych twierdz. Olbrzymie gmachy rozłożone równym szeregiem na prawym brzegu Wisły, mimowoli nasuwają myśli: bronił się Modlin dzielnie w 1939 roku.

3 kilometry za twierdzą przystanęliśmy na obiad, kolację i spanie.

Zmęczenie ogarnęło wszystkich. Każdy był spragniony cienia, wody (ale nie tej, po której płynął), zimnej do picia.

Pierwszy dzień spływu ukończył się wraz z wieczornym chłodem, przypalone plecy coraz bardziej dawały się odczuć tym, co nierozważnie długo dali się przygrzewać słońcu. Zachód słońca i szybko nastająca noc, zmusiły wszystkich do spania i tu mieszczuchy miały raj. Spanie w stodole na słomie prostej, pod kocem z rana nawilgłym rosą. Pobudka o 6 rano zerwała wszystkich na nogi, lekki ból kości szybko minął po zimnej, orzeźwiającej kąpieli wiślanej.

Płynęliśmy dalej. Ci, co nierozważnie pokazywali nagą białość swego ciała dnia poprzedniego, dzisiaj otuleni koszulkami, bluzkami starali się nie prowokować słońca.

Pogoda naprawdę zamówiona.

Następny dzień przyniósł niespodziankę, a był to wtorek — wiatr i burza z falami na Wiśle. Kajaki nasze rzucane jak pudełka z trudem przedzierały się, ale jednak dopłynęliśmy, ba, nawet Płock witał nas orkiestrą, kwiatami mimo ulewnego deszczu. Obiad, którym nas poczęstowano, smakował wyśmienicie. Płock jest jednym z najczystszych miast w Polsce, dużo kwiatów, wszędzie kwiaty, a mieszkańcy mili, sympatyczni i spokojni.

Następnym miastem był Włocławek. Znów orkiestra, wspaniała kolacja, piwo, lody cudowne i tańce ludowe, powtarzające się często (orkiestra zapomniała przynieść nuty) i nasze rozhulane bractwo, a szczególnie panna Stefcia — nasza bogini piękności całego spływu, tańcząca do upadłego. Nie można było zagonić ich spać, jeszcze jeden oberek, a potem walczyk i tak wkółko, a czas leci, wstać trzeba rano. Dobrze, że noclegi były na łóżkach miękkich z czystą pościelą.

Czwartek. Pogoda piękna, upalna z żarem spływającym z bezchmurnego nieba. Polowa z nas wylazła ze skóry, ale czego się nie robi dla sportu, niech skórę diabli wezmą, byle spływ się udał. Przejeżdżaliśmy koło Ciechocinka, leżącego 3 km od Wisły, poprzednio w planie był projekt zwiedzenia uzdrowiska ale zmęczenie, wieczór i muzyka na statku przeszkodziły temu. Przyrzekliśmy zwiedzić Toruń następnego dnia, niestety, kilka osób tylko oglądało stary Toruń z domem Kopernika, Krzywą wieżą, Katedrą gotycką oraz wspaniałymi piernikami. Podobała nam się budka „Społem", stojąca pod ratuszem, przypominająca domek Baby Jagi z ładną (ale nie czarownicą) sprzedawczynią pierników.



Fot. Film Polski

Nim spostrzegliśmy się, dopłynęliśmy do Soka Kujawskiego, skąd już do Bydgoszczy niedaleko. Ostatni ten odcinek najcięższy, bo końcowy, bo trzeba będzie wracać do domów. Po przebyciu śluzy na Brdzie, woda tej rzeki płynie wolno, jest głęboka i zastawiona barkami. Czym bliżej do Bydgoszczy, widać było jak bogate bo nie zniszczone musi być miasto, barek coraz więcej, nigdzie spalonego domu, coraz to kajak przemknie w dół to znów łodzie regatowe, motorówki. Miasto bogate w sprzęt sportu wodnego.

Wieczorem braliśmy udział w defiladzie wodnej w wigilię Święta Morza, wywołując burzę oklasków i wiwatów w licznie zgromadzonym społeczeństwie bydgoskim.

Ale organizacja w Bydgoszczy nie dopisała, nic nie było przygotowane ani nocleg, ani samochody, po prostu panom dyrektorom nie chciało się. O kolegach z Bydgoszczy muszę jeszcze napisać kilka słów. Ci, którzy brali udział w spływie ale nie z Okręgowego Oddziału Włókienniczego „Społem", byli bardzo koleżeńscy, mili, prawdziwi spółdzielcy. Koledzy włókniarze w złym świetle się pokazali, trzymali się osobno, oddzieleni murem puszek konserwowych i czekolądą.

M. Bąkowski

SPŁYW SPÓŁDZIELCZYCH KLUBÓW SPORTOWYCH W RAMACH ŚWIĘTA MORZA

TYDZIEŃ

W najbliższych numerach: Edward Ligocki, Karol Małcużyński, Stanisław Piętak, Zygmunt Szweykowski, Jan Śpiewak, Grzegorz Timofiejew, Jan Wiktor i inni